

Pawel FanTom

TO TAKA MAGIA

(Historie alternatywne. Wszystkie prawdziwe)

*Żonie za pozostanie w domu
Gajosowi za alibi
Leśnemu i Dziękowi, że przeczytają ze zrozumieniem
wszystkim, dzięki którym jestem sobą
i dzięki którym mogłem tu być*

To taka magia
To takie czary,
Sen o potędze, zwycięskie laury
I błysk spojrzenia i przeznaczenie,
To takie czary,
To promień światła na życia drodze:
Nikt ze śmiertelnych grać tu nie może!
To taka magia,
Odzywa się w nas nostalgia
I czasu przenika obszary...
To takie czary.
Przez całą wieczność oczekiwanie,
Aż dzień ten wreszcie, teraz nastanie.
To rodzaj magii,
Lecz jest nas wielu,
A tylko jeden dostąpi celu.
By gniewu, który w nas wzbiera
Nareszcie pękła bariera!
Ten płomień, co mnie rozgrzewa,
Ten głos co w głębi rozbrzmiewa,
To taka magia.
Odzywa się we mnie nostalgia
I czasu przenika obszary...
To takie czary.
To taka magia,
To takie czary.
Już walka się rozpoczyna
I wkrótce poznamy finał.
W tej magii jest nas zbyt wielu,
A tylko jeden dostąpi celu.
To taka magia,
To takie czary.

(na podstawie "A Kind of Magic" aut: Roger Taylor, Queen)

#Wiosna2015

- Halo?! Gajos?
- Czego???
- Grzeczniej dziadu! Chcę jechać z tobą na wakacje!
- Szwabski synu, znowu?
- Czas przywrócić Formułę Alibi.
- Czyli znowu 2+2?
- Co zrobić? Ale już nie w opcji "budowania relacji" tylko "ratowania relacji"
- Yhm, dokąd?
- Wszystko jedno, wskaż jakieś miejsce na mapie. Pamiętaj, że nie ważne dokąd, ważne z kim. Może być Sochaczew. Ze mną masz zawsze all inclusive!
- Przemysław to, ale sam wiesz..., że te młode coraz bardziej pyskate, potrafią wszystko spieprzyć, i będzie to dla nich największą satysfakcją.
- Spoko, przez tydzień wytrzymamy nawet trzęsienie ziemi, a już najwyższy czas wrócić do starej świeckiej tradycji naszych męskich wyjazdów!
- OK! Jedziemy.

#zawsze

Wiadomo: nic nie dzieje się przypadkiem i najlepiej zaufać przeznaczeniu. Warto rozejrzeć się przez chwilę, by dostrzec cieniutką końcówkę nitki losu. Gdy już ją złapiesz i poczujesz, że rozwija się gładko, nie zastanawiaj się! Zwłaszcza, gdy testowe, badawcze szarpnięcia obiecują okazałą szpulę, ukrytą w dali. To się nazywa: po nitce do kłęбка istnienia i wiadomo, że musi się udać! Próbné szarpnięcia są niezbędne, by od razu odrzucić krótkie i nieistotne sploty oraz zasupłane i skomplikowane węzły. Trzeba takich unikać, by potem nie przeciągać się z mozołem. Należy uważać, by nie wpaść w jakąś samozaciskową pętlę, z której nie ma wyjścia.

Jak odróżnić złotą nić od takiej zdradliwie postrzępionej? Chyba tylko dzięki latom doświadczeń. Całym dekadom szarpania, płątania i upierdliwego wiązania zerwanych więzi. Mądrość przychodzi z wiekiem i nie da się tego przeskoczyć. Powoli jednak osiągamy perfekcję w odnajdywaniu.

#wiosna2015

- No cześć! - tym razem dzwoni Gajos - Wiesz, że ja ostatnio trochę pływałem na rejsach. Znalazłem taką łódkę, która okrąży Europę. Trasa jest podzielona

na etapy. Załogi się zmieniają i akurat są wolne miejsca na tydzień w... Szkocji.

- Eeeee? To nie Karaiby? Nie Wietnam? [mijają długie sekundy: jedna... dwie... dwie i pół...] PASUJE! Jedziemy!
- Tam mają taki kanał w poprzek łądu - próbuje coś jeszcze tłumaczyć - Kanał Kaledoński, jeziora, śluzy... słyszałeś pewnie o Loch Ness?!
- Nieważne co i jak. Potem się zobaczy... - najważniejsza jest nasza Wielka Improwizacja. W tym jesteśmy najlepsi! Mamy ją w DNA, zaszczerpioną jeszcze w czasach Wielkiego Romantyzmu. W latach osiemdziesiątych XX wieku!

#quickenig*

(*dla niewtajemniczonych: *Quickenig to Przyspieszenie, moment, w którym Nieśmiertelni otrzymywali dodatkową moc i wiedzę po zwycięskim pojedynku, to również istotny zwrot akcji, gonitwa myśli, zbliżenie do absolutu*).

Powraca scena z filmu Highlander [Nieśmiertelny]. Główny bohater, Connor MacLeod smakuje z lubością wiekowy, zacny koniak. Bezbłędnie rozpoznaje jego rocznik. Myślami przenosi się w przeszłość:

- Rok 1783 **to był dobry rok**. Mozart napisał Mszę Koronacyjną, a w Ameryce zakończyła się wojna o niepodległość...

#przeszłość

Powraca scena z innego filmu. Tam my odgrywamy nasze główne role. Przełom 1986 i 1987. **To były dwa dobre lata**. Gajos zdaje maturę. Ja jestem o rok niżej, w trzeciej klasie liceum. Podczas, gdy Queen wydaje płytę A Kind Of Magic, głowy mamy w chmurach. I rzeczywiście: jest magicznie. Po raz pierwszy dostajemy zaproszenie do wieczności: Who wants to live forever?! Odpowiedź może być tylko jedna: pełna gotowość! Muzyka działa na wyobraźnię. Ale to dopiero początek.

- Już walka się rozpoczyna i wkrótce poznamy finał!



#styczeń1987

Kino Skarpa to miejsce magiczne na mapie Warszawy. Jest dość wczesna godzina. O tej porze powinienem być w szkole, ale nie dzisiaj, bo teraz są ważniejsze sprawy. Nasza szkoła też jest magiczna, lecz aktualnie muszę być tutaj. Przyciągnęło mnie przeznaczenie. Zaproszenie do mitycznego Zgromadzenia. Inni też tu są. Całe tłumy w kolejce po bilet na film.

#wiosna2015

Praca, dom, biuro, ulica, dom, komputer, praca... Czas się obudzić i ponownie chwycić nić przeznaczenia.

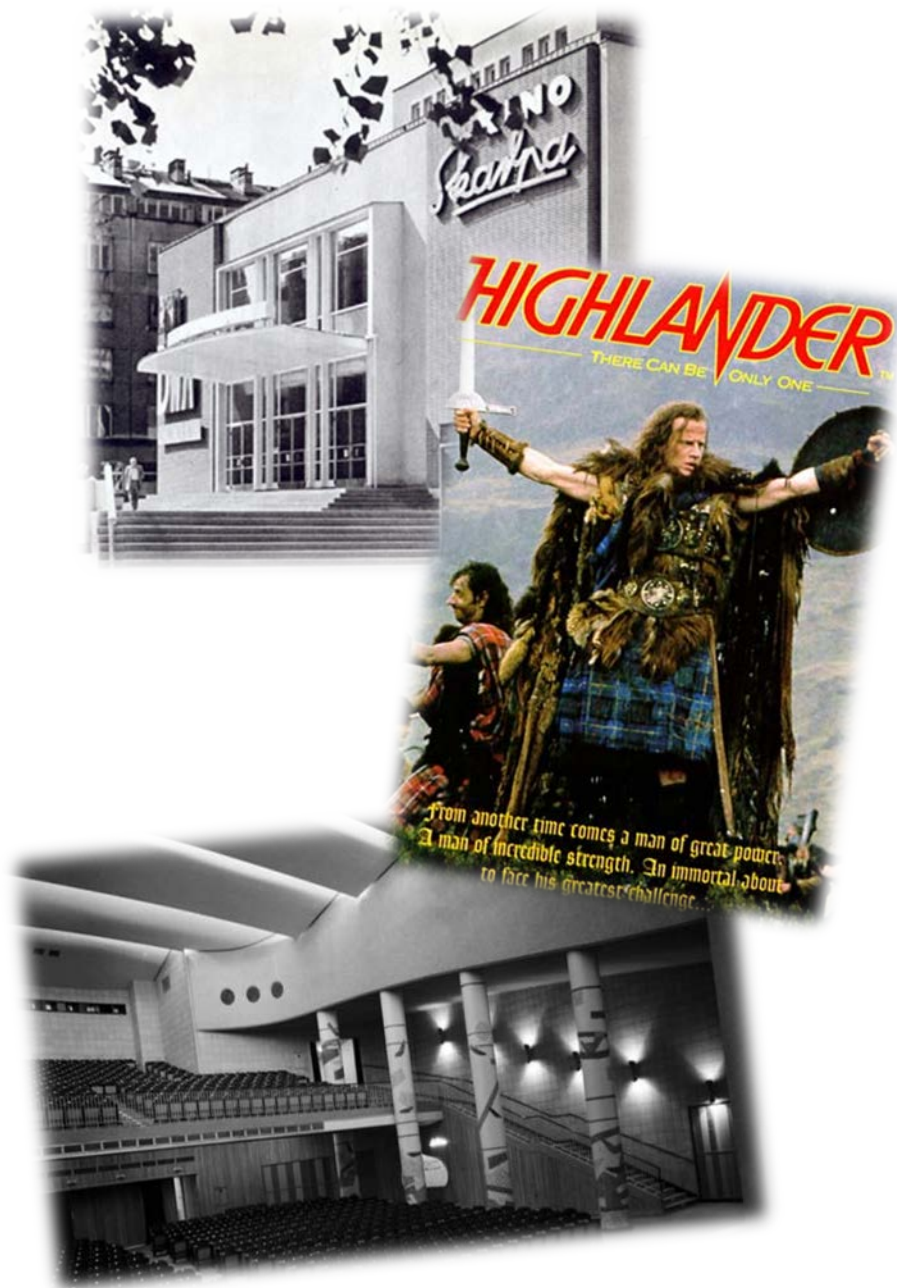
Co wiemy o Szkocji? Faceci chodzą w spódniczkach, tak skąpych jak oni sami. Wszystko jest tam w kratkę, nawet pogoda. I jeszcze ten podwodny potwór - ujawnia się po spożyciu tamtejszej wody, na myszach pędzonej. Tylko tyle? Pytamy znajomych...

- Ej, a po co tam?
- Ej, przecież tam zimno i leje.
- Ej, przecież tam drogo.
- Ej, przecież tam się jeździ do pracy, a nie na wakacje.
- Ej, przecież tam nie ma nic ciekawego.
- Ej, przecież tam nie ma all inclusive
- Ej, przecież nuda, przecież, przecież...

Ej: Stop fucking! Trzymamy się planu. W końcu znamy metody, by się rozgrzewać, gdy zimno. A all inclusive potrafimy zorganizować wszędzie. Nawet, gdy nie ma takiej oferty w katalogach turystycznych.

#styczeń1987

Warszawskie Kino Skarpa ma się dobrze, jak przystało na dobry rok. Tu zamontowano właśnie najnowszy cud techniki nagłośnieniowej - ogromne kolumny emitujące dźwięk Dolby Stereo. Dlatego akurat tutaj trzeba obejrzeć projekcję filmu, w którym muzyka odgrywa nieprzeciętną rolę. I to jaka muzyka! Sygnowana tytułem Jej Królewskiej Mości! Siedzę już na sali, w starym, skrzypiącym, drewnianym fotelu. Wszystkie miejsca zajęte, ale nikt się nie rusza, nikt nie śmieci popcornem, bo popcornu wtedy jeszcze nie ma. Szczęśliwcy, którzy tu weszli, musieli spędzić w kolejce długie godziny. A przecież to pierwszy dzisiejszy seans. Nikt nie narzeka, wręcz przeciwnie - ludzie potrafią cieszyć się chwilą. Są przyzwyczajeni do kolejek, w których stoi się ciągle i po wszystko.



Kolejki to standard. Na wieczorne projekcje filmu od dawna nie ma biletów. Rozchodzą się w czarodziejski sposób, za kinową kurtyną i trafiają do drugiego obiegu, czyli do koników. Kieszonkowe licealisty jest skromne. Nie stać mnie na zakup biletu od konika. Stać mnie za to na wagary, by choć na chwilę wyrwać się z szarzyzny. Przez chwilę. Bo co w życiu jest najpiękniejsze? Już za chwilę... Trzeba jeszcze wytrzymać obowiązkową Polską Kronikę Filmową, która pełni rolę przedseansowej reklamy. Normalnych reklam jeszcze nie ma. Zobaczcie, jacy jesteśmy pokrzywdzeni: bez reklam i popcornu! Czarno-biała papka Kroniki reklamuje w kolorowy sposób szaro-bury produkt. To swoisty ewenement naszych czasów. Produkt ten nazywa się PRL. Jest gówniany. Jest wspaniały. Jest nasz!

Głośniki Dolby Stereo od razu robią różnicę i wciskają w fotel, bo oto już wkraczamy w świat magii. Kamera zabiera nas w podróż na drugą półkulę, do wielkiej metropolii. Błądzi po hali sportowej i zatrzymuje się na postaci jakiegoś człowieka. Wokół niego rozgrywa się akcja, trwają zawody na ringu, lecz człowiek nie zwraca na to uwagi. Jest skupiony, skoncentrowany, wpatrzony w dal. Ubrany w jasny prochowiec. Marzę o takim płaszczu, ale szczytem możliwości jest ortalionowy skafander. Taki komuszy uniform. Tymczasem wzrok człowieka jest nieobecny. Nie ma go tam. Mnie nie ma tu. Jestem tam. Z nim. On nazywa się Connor MacLeod z klanu MacLeod.

Jego wzrok przenika stulecia i przeświewa czas. Świdruje i wwierca się w przeszłość, by zatrzymać się na szkockich wrzosowiskach, wśród górskich strumieni, w dolinach otoczonych szczytami. To miejsce nazywa się Glen Coe, czego wtedy jeszcze nie wiem (zapamiętajmy jednak tę dźwięczną nazwę, ponieważ kiedyś się pojawi! - *przyp. wyroczeni*).

Connor jest młody, tak samo jak ja. Ale on należy do szkockiego klanu i w bitwie zostaje śmiertelnie ranny. Powinien zginąć, ale nie umiera. Dlaczego? Nikt tego nie wie, choć rodzą się domysły. To czary i magia! Trzeba wygnać go z zamku! Niech będzie przeklęty! Lecz Connor MacLeod nie może normalnie zginąć. Jest Nieśmiertelny.

Zostaniesz ponizony i padniesz twarzą na zimny gład.

Wszystko co miałeś wymknie się z twych rąk.

Och, mój sentymentalny przyjacielu,

Twój czas jeszcze nadejdzie!

(na podstawie One Small Day, aut. Midge Ure, Ultravox)



Alternatywna rzeczywistość dzieje się na wielu płaszczyznach, przenosząc nas między poziomami. Raz w Szkocji, raz w Ameryce, dawniej, teraz, kiedyś. Zupełnie jak w jakiejś grze. Czy Ty... tak do Ciebie mówię! Czy masz wrażenie, że jesteś w tej grze rozgrywającym? Czy raczej zwykłym pionkiem?

#universe znaczy Wszechświat

U nas zmęczona, zimna Warszawa - a tam, w innym świecie, w alternatywnej rzeczywistości: buchający feerią barw Nowy Jork.

U nas co najwyżej pogrom na matematyce - tam dwaj faceci wyciągają miecze i zaczynają walkę, w której stawka jest większa niż życie, bo obaj są nieśmiertelni. Krzyżują się ostrza, iskrzy hartowana stal.

Tu nudna telewizja emituje dwa kanały dla genetycznie zmutowanych chłoporobotników - a tam powstają kolorowe teledyski z użyciem laserów, helikopterów i specjalnych efektów.

Tutaj kolor jest odgórnie reglamentowany na talony, na przykład w postaci radzieckiej technologii marki Rubin: szarość dla mas, kolor dla wybranych, czyli technologia w służbie socjotechniki.

Nawet kolor w Rubinach jest centralnie sterowany: zazwyczaj synchronizuje się wyłącznie jeden odcień: albo różowy lub tylko zielony.

Tam, w kosmicznie odległym Nowym Jorku, podczas walki nieśmiertelnych, z hukiem eksplodują dachowe neony, wybuchają samochodowe reflektory, błyskają świetlówki i spektakularnie pękają szyby na drapaczach chmur. Jaki system, takie eksplozje. Tutaj można się co najwyżej spodziewać domowego wybuchu Rubina w wyniku samozapłonu!

Tam: zespół Queen nagrywa Princess of the Universe,

Tu: nasz zespół The Beer Boys nagrywa:

**Chcemy wolności, chcemy pieniędzy,
Chleba i igrzysk, dosyć tej nędzy!
Chcemy pieniędzy, chcemy wolności,
Ale ten świat jest pełen radości!**

Ale to my jesteśmy prawdziwymi władcami wszechświata. Fizycznie tu, myślami tam. Gdzieś w przestworzach, pomiędzy obiema półkulami. Tak dorastamy. W zawieszeniu. Lecz czujemy się świetnie, wszak mamy nadzieję, że gdzieś jest ten lepszy, szczęśliwszy świat. Uczymy się doceniać drobiazgi. Cieszyć z detali. Wierzmy w czary i magię. Bo co nam pozostało?



**Oto my, życia królowie
Władcy wszechświata
Zmuszeni by walczyć tu o przetrwanie**

(na podstawie Princess of The Universe, aut. F. Mercury, Queen)

#Szkocja, głębokie średniowiecze
zamglona zieleń, góry i muzyka wyciskana na dudach. A w tle ruiny zamku.

- Ja jestem Connor MacLeod z klanu MacLeod.

Poznajmy się, bo w przyszłości zostanę twoim następcą.

#wiosna2015

Czas zacząć przygotowania do podróży. Oczywiście idą nadspodziewanie gładko. Planujemy przelot do Glasgow, potem przejazd do Inverness skąd rozpocznie się rejs jachtem.

- Z lotniska pewnie tradycyjnie wynajmiemy samochód?

- O nieeee! Nie tym razem, tam się przecież jeździ po złej stronie drogi. A życie nam jeszcze miłe.

Co prawda mamy tam szukać czarów i rozwiązać zagadkę nieśmiertelności, ale nie wiemy, czy magia już działa, czy dopiero uaktywni się na miejscu? Czy będziemy tacy jak Connor MacLeod? Jakoś trudno zaryzykować, by się o tym przekonać - rozpoznanie w boju? Może innym razem.

#Szkocja, kiedyś

- It can be only one! Może być tylko jeden!

Znamy te słowa na pamięć i powtarzamy jak mantrę. A na kinowym ekranie, w Szkocji, nagle pojawia się szlachcic Ramirez. Przybywa, by uczyć Connora. Zostaje jego mentorem i mistrzem. Też chcielibyśmy mieć takich nauczycieli. Ale niewielu z nich może poszczycić się autorytetem. Większość odważa pańszczyznę, przy okazji zaspokajając swoje skrywane frustracje i odgrywając się na uczniach za własne nieudacznictwo. Ramirez jest inny. Wprowadza wychowanka w tajemnice nieśmiertelności. Ramirez to aktor Sean Connery. Sir Sean Connery, vel Bond, James Bond. Synapsy nie nadążają łapać tych oczywistych skojarzeń, a intuicja podszeptuje, że zbliża się coś wielkiego i ważnego. Aktor Connery jest Szkotem. Komandor Bond jest Szkotem! Wszyscy oni pozostaną nieśmiertelni. Kto jeszcze jest Szkotem? Zobaczmy...



#1986

Brian May, który nie jest Szkotem, lecz gwiazdą rocka, wraca samochodem do domu. Właśnie, z kolegami z grupy Queen, obejrzał próbny pokaz filmu Highlander. Mają stworzyć podkład muzyczny. Każdy z członków zespołu wybiera sobie fragment filmu. Gitarzysta May jest po projekcji naprawdę wzruszony. Wstrząsnęła nim scena, w której nieśmiertelny Connor trzyma na rękach ukochaną, umierającą, Heather... To wtedy, w jego głowie, powstają nuty i słowa ballady Who wants to Live forever. To dzięki niej Brian May też stanie się nieśmiertelnym.

#wiosna2015

Chwileczkę, kiedy ostatnio byłem na urlopie? A gdyby skorzystać z okazji i zafundować sobie choćby krótkie przedłużenie tygodniowego rejsu? Czy stoi coś na przeszkodzie, by dołożyć ze dwa dni na miejscu i trochę się tam rozejrzeć? Może w Glasgow, blisko lotniska? Nie, bo nie? Za duże? Nieciekawe? Poprzemysłowe? Opuuszczamy! A po drugiej stronie mapy? Edynburg - brzmi lepiej, ponoć to jedna z najbardziej urokliwych i najpiękniej położonych metropolii w Europie. Mnie jak zwykle pasuje. Dodatkowym pomysłem błyska Gajos:

- Pamiętaj taką Ankę z podstawówki, która wyprowadziła się do Szkocji? Właśnie dostaliśmy zaproszenie - dzieli się newsem.
- Wspaniale! (mnie znowu pasuje). A gdzie dokładnie mieszka?
- Na Orkadach. To jakieś wyspy na północ od Szkocji. Cisza i spokój!

Jako, że poszukiwanie ciszy i spokoju stanowi motto i życiowy cel Gajosa, nie zastanawiam się ani chwili, by wyjść mu naprzeciw.

Trudno sobie wyobrazić, byśmy kiedykolwiek mieli specjalnie trafić na Orkady, więc wiedzeni przeznaczeniem, dokładamy cegiełkę do planu podróży.

Gdziekolwiek są te Orkady...

- Jedziemy tam!

**Cokolwiek chciałem,
i czego szukałem,
Trzymam w ramionach.
Słowa są zbędne
Krzywdzące, bolesne...
Rozkoszuj się ciszą!**

(na na podstawie Enjoy The Silence, aut. M. Gore, Depeche Mode)

Wstępny plan się krystalizuje. Dwa dni w Edynburgu, potem trzy na wyspach i na zakończenie tydzień rejsu jachtem. Zapowiada się nieźle. Zgodnie z teorią: im wcześniej tym lepiej, można już zamawiać bilety lotnicze. Klamka zapada. Później poskłada się to logistycznie. Przecież Szkocja to nie Kuba, a i tam daliśmy sobie radę.

Poranny przelot do Glasgow zapewnia wystarczający zapas czasowy na dojazd do Edynburga. Z trudem potwierdza się hotelowa rezerwacja w stolicy Szkocji. Cena wydaje się nieziemsko wysoka, ale: żyje się raz! (później będziemy z tym polemizować). Mówią, że to magiczne miasto i ściąga w lecie tysiące turystów, choćby na różne festiwale sztuk ulicznych i kuglarskich popisów. A my wybieramy hotel w samym centrum - drożej niż na przedmieściach, lecz wytrawni turyści wiedzą, że:

- czas to pieniądz, a my czasu mamy mało
- dojazdy z przedmieścia do centrum to pieniądz
- wygoda jest wręcz bezcenna, gdy po wieczornym melanżu, można szybko przedostać się do pokoju.

Podobno Edynburg ma swoje mroczne historie. Na początek rezerwujemy więc jakąś „straszną” miejską wycieczkę po podziemiach. Za to następnego dnia wybieramy program zamiejski - wycieczkę w góry, do źródeł single malt whisky. Ten temat postanawiamy poznać **dogłębnie**. W destylarni.

Idzie gładko, ale do czasu. Oto na naszej nici przeznaczenia pojawia się pierwszy supełek. Linia lotnicza złośliwie zmienia rozkład i przesuwa godziny rejsu w dniu 25 lipca, z rannych na wieczorne. Chytry plan legnie więc w gruzach. Tracimy cały pierwszy, bezcenny dzień, przeznaczony na dojazd do Edynburga i zwiedzanie podziemi. Katastrofa? Na pierwszy rzut oka tak to wygląda! A jeszcze te Orkady. Co nas podkusiło? Mapy Google ledwo-ledwo to obejmują, ale ledwo jest właściwym przysłówkiem. To koniec świata! Nawet nie bardzo wiadomo jak tam dojechać. Jakieś promy kursują z samej północy Szkocji. Bagatela: ponad 500 km z Edynburga górskimi drogami. Już nawet nie wspomnę (sic!) że komunikacja lądowa między miastami kosztuje w tym kraju tyle, co przelot z Polski. A ośmiogodzinna jazda pociągiem lub lokalnym pekaesem na północ, gdy nasz czas niepokojąco się kurczy, nie tylko przestaje nam się uśmiechać, ale w ogóle nie wchodzi w rachubę.

#quickening

Akcja filmu toczy się w różnych czasach i miejscach. Przenosi nas z przeszłości w teraźniejszość i spina klamrą różne epoki. Gdzieś z oddali dobiega głos Ramireza. Może z zamierzchłych, a może z przyszłych czasów?*

(*trudno się nawet zdecydować w jakim czasie prowadzić narrację. Tu i teraz? - przyp. autora).

Głos udziela rad Connorowi, gdy ten osiedla się z ukochaną Heather w małej górskiej chatce, w szkockim wąwozie, w okolicach Glen Coe. Są szczęśliwi. Potrafią żyć pełnią życia i cieszyć się przyrodą. Ich czas też się kurczy. Heather nieubłaganie się starzeje, a Connor pozostaje wiecznie młody. Dlatego Ramirez ostrzega:

- musisz ją opuścić bracie

a w tej sekundzie, w tle, rozbrzmiewają pierwsze dźwięki nieśmiertelnej, królewskiej ballady:

**To nie jest czas dla nas,
to miejsce nie jest dla nas...**

Heather jest coraz słabsza.

- Nie chcę umierać... Chcę z tobą zostać na zawsze... Gdzie jesteśmy?
- W górach. A gdzieżby indziej. Zbiegamy po stoku. Świeci słońce. Jest ciepło.... Dobranoc moja ukochana Heather!

To scena, która chwyta za gardło. Nie tylko gitarzystę Queen. Każdego. Ten obraz z młodości zapamiętujemy na zawsze. Ten obraz powróci.



#wiosna2015

Pora zabić przeciwności! Jak wiadomo: rozwiązanie supła powoduje wydłużenie liny. I dokładnie tak się dzieje w naszym przypadku. Zmieniamy wylot. Nie ma rejsu dzień wcześniej? Trudno! Polecimy dwa dni wcześniej. 23 lipca. Dwa dodatkowe dni, to jak dwa dodatkowe życia w naszej grze. Jeszcze o tym nie wiemy, ale nasze rozdanie już jest blisko, coraz bliżej. Tymczasem z niewinnego, siedmiodniowego rejsu robią nam się całkiem poważne, dwutygodniowe wakacje. Stanowi to pewnego rodzaju wyzwanie. Po naszych ostatnich, wspólnych i niezapomnianych mega-podróżach, ta nadchodząca nie może być przecież gorsza. - One muszą być lepsze, te wakacje, no! - I to jest słuszna koncepcja i tego się trzymajmy.

Podejmujemy więc kolejne epokowe decyzje. Z Glasgow wynajmiemy samochód. Trudno, jakoś to będzie. Gajos będzie kierował, a ja się znieczulę, aby na to nie patrzeć. Jesteśmy umówieni.

Dodatkowo znajdujemy wakacyjne połączenie lokalną linią lotniczą z Orkadów do Inverness, czyli akurat do miejsca, w którym musimy pojawić się 30 lipca. Samolot nie kursuje codziennie, ale o dziwo, akurat tego dnia, kiedy potrzeba: leci.

Doskonała koordynacja pilota samolotu z kapitanem naszej łodzi. Cudownie. Pozostaje jeszcze tylko dojechać na Orkady w tamtą stronę. I znów wszystko samo się rozwiązuje. Jak w początkowej sentencji. Znajdujemy prom, który płynie 2-3 razy w tygodniu z Aberdeen, a więc ze środkowej, a nie z północnej Szkocji do Kirkwall na Orkadach. Zgadnijcie: czy data rejsu promowego będzie pasować? I na tym właśnie polega słuszność teorii Wielkiego Przeznaczenia!

Nie wiadomo jak to się dzieje, ale udaje się rozszerzyć czasoprzestrzeń: w sam środek wyjazdu, jakimś cudem, wciskamy dodatkowy nocleg w Aberdeen.

Czyli jeszcze jedna dodatkowa klamerka i już wszystko się spina: z Edynburga do Aberdeen dojedziemy w 2 godzinki - wzdłuż wybrzeża - koleją East Coast. Nie trzeba chyba dodawać, że zarówno dni, jak i czasy połączeń dopasowują się do siebie tak, jak śrubki w precyzyjnym mechanizmie szwajcarskiego chronometru. Nawet najlepszy logistyk lepiej by tego nie ułożył. A nam się ułożyło.

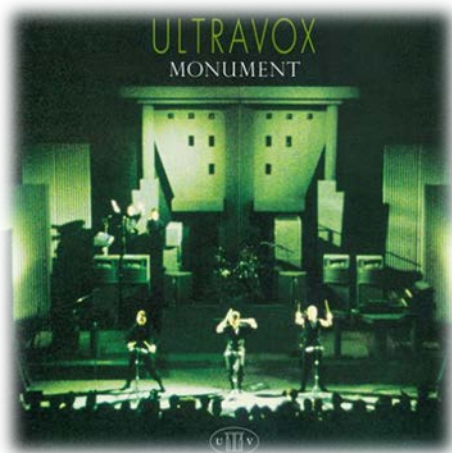
Jeśli samo planowanie wyjazdu może być tak fascynujące i pełne niespodzianek, to jaki będzie wyjazd sensu stricto? Wysoko zawieszamy poprzeczkę. A swoją drogą: jak nudne i przewidywalne są wczasy z biura podróży, gdzieś w kurorcie z betonu, w hotelu-molochu, z plażą pokrytą setkami ludzkich robaczków? Ha! I kto to mówi?!

#quickening

Właśnie, właśnie, a kto jeszcze jest Szkotem? Olśnienie: Midge Ure z Ultravox! Nasz mistrz i noworomantyczny guru. Bo kto był najważniejszym, prawdziwym Romantykiem Muzyki Rockowej? Właśnie On! Aby dopełnić kielich szczęścia i zamknąć kolejną pętlę historii, Midge Ure postanowił odwiedzić Warszawę 30 maja. Równy dwa miesiące wcześniej, zanim my odwiedzimy go. Oczywiście koncert zaliczamy całą paczką, w wymarzoną składzie, z Leśnym, Gajosem, nawet z Dziekiem, który po 9 latach przyjechał z Vancouver do Warszawy. A dlaczego udaje się zamknąć pętlę czasu? Wyjaśnia kolejna fuga czasowa...

#październik1986

1986 jest dobrym rokiem. Ostatnim dobrym rokiem dla Queen i Freddiego, a dla nas szczególnie dobrym, gdyż mamy po 18 lat i świat leży u naszych u stóp. 1986 jest rokiem, w którym - pomimo ogólnej degrengolady - wiele się dzieje. Właśnie stoimy przed warszawską halą Torwaru, tłocząc się w gęstym, rozgorączkowanym tłumie fanów nurtu zwanego New Romantic. Jest tu wielu pajacowatych przebierańców odzianych w kolorowe piórka, lecz my do nich nie należymy, My romantyzm mamy we krwi, skażonej nieuleczalnym bakcylem. On dodaje nam skrzydeł i wznosi ponad poziomy.



Bilety rozchodzą się błyskawicznie. Ja z Dziekiem jesteśmy wśród wybrańców. To nasz obowiązek: usłyszeć na żywo Hymn i The Voice... już jest tak blisko. Sama hala Torwaru służy zazwyczaj jako kryte lodowisko i nie nadaje się, ani pod względem akustycznym, ani organizacyjnym, na przyjmowanie koncertów, które System próbuje tu wciskać. System A.D. 1986 jest łaskawy, że zezwala na koncert. A tłum, rządny igrzysk, i tak się ucieszy. Otwierają się bramy i jedziemy do środka! Ultravox zaczyna koncert. Ludzka masa napiera niemiłosiernie, by przepłynąć jak najbliżej sceny. Stalowe barierki trzeszczą na złączach. A co to? Ktoś próbuje wybijać dodatkowy rytm? Warren Cann uderza w perkusję swymi dwoma drewnianymi pałeczkami, lecz coś próbuje go zagłuszyć. Na Torwar wchodzi cały oddział innych perkusistów. Uderzają równie miarowo i skutecznie, lecz ich pałki są długie i gumowe. Oddział ZOMO ma dzisiaj własne występy, co odbija nam się czkawką przez kolejne trzy dziesięciolecia. Ale jest głęboka komuna i wiadomo, kto tu rządzi. System rządzi. Dziecku, który przed chwilą stał obok, musi uciekać przed milicyjną łapanką. Co się dzieje dalej? Trudno powiedzieć... Akcja zomowców psuje całą zabawę. Niby jesteśmy na koncercie, a jakoby nas nie było. Dlatego naszym świętym obowiązkiem i niespełnionym marzeniem staje się przeżyć ponownie ten Jeden Mały Dzień - One Small Day

...Ile już razy jest wszystko przeciw nam?

Ile to razy zostaniesz całkiem sam?

Ile to razy zwyciężą myśli złe?

Och, mój sentymentalny przyjacielu,

Znów staniami ramię w ramię!

(na podstawie One Small Day, aut. Midge Ure, Ultravox)

#pstryk!

Widocznie rok 2015 potrafi spełniać takie marzenia. Dziecku! Jedziemy ramię w ramię!

Kiedy jutro rano żona zapyta: ile czasu trwał koncert? Odpowiem bez wahania: prawie 30 lat świetlnych, bo tyle minęło od tamtego na Torwarze. Klub Progresja mieści się w obskurnym, peerelowskim bloku, po zakładach przemysłowych Wola. W tej sali dzieci robotników odbierały raz do roku świąteczne paczki z pomarańczami i czekoladą. W tej sali zbierało się partyjne plenum. A teraz sala przeszła metamorfozę i zmieniła się w klub rockowy. Przedziwna, wzruszająca historia albo może chichot losu? Na zewnątrz obskurna facjata, ale w środku bije gorące serce piwnego baru. Pompuje w żyły czysty, jasny nektar, który

błyskawicznie zaczyna działać, wygładzając zmarszczki i przestaniając łysiny. Nasz rockendrollowy świat jest nadal piękny i kolorowy! Z za zamkniętych drzwi dobiegają już głosy próby: one small day... TAK! Zbliży się ten nasz small BIG DAY! I oto pojawia się ON! Nasz wielki Szkot o niskim wzroście i wielkim głosie. Bo to TEN GŁOS [ang: THE VOICE] wyciąga nas pod samą scenę. To chyba dlatego, że w każdym głośniku jest wbudowany magnes. A w głośnikach Ultravoxu to magnes megakurwatonowy.

**Te słowa, tak mi bliskie
Łapane każdym zmysłem
Kiedyś już je słyszałem....
Uczucie tak dobrze mi znane!**

**Emocje odległe i obce
Stają się nagle znajome
Kiedyś już to widziałem
Słyszę czyjeś wołanie**

**Och, ta skala i ton
To ten głos!
Sprawdzona dźwięku potęga
Ta barwa i moc
To ten głos
Niskich tonów głębia!**
(na podstawie The Voice, M.Ure, Ultravox)



Śpiewamy więc na cały głos:

- oooooo... Oh, the look and the sound of The Voice...!
Los odwdzięcza się nam aż nadto. Tam przed laty: zatęchły, stłoczony Torwar, tu kameralna sala, wypełniona tylko w części. To ogromna, kosmiczna przepaść. W koncercie klubowym można UCZESTNICZYĆ, a na koncertach masowych się bywa. Tu jest ta właściwa, intymna atmosfera, bliskość artysty na wyciągnięcie ręki, dopracowana akustyka, możliwość obserwacji każdego gestu, każdej kropli potu na jego czole, gdy stoisz (nie stoisz! SKACZESZ!) oddalony od niego o 3 metry! A on wie, że rozmawia z jednostkami, a nie z wielotysięczną masą, że żartuje do ludzi, a nie do dywanu niezliczonych szpilek z ruchomymi główkami. Tu nie ma przypadkowych osób. Wszyscy starannie wyselekcjonowani, przebrani przez sito czasu i zapomnienia. Najlepsi z najlepszych, creme de la creme noworomantycznej przygody. I jeszcze jedna różnica: tu i teraz barman podaje zimne piwo, wtedy i tam - zabawę studziły zomowskie pały. Dziś znowu mamy po 18 lat! Dziś nikt nam nie przeszkodzi. Dzisiaj damy z siebie wszystko! Dajemy. Daliśmy. The GREAT ADVENTURE! Och! Magia. Zostają autografy i wspólne zdjęcia z Mistrzem. Niskim, Wielkim Artystą, niezwykłym człowiekiem w zwykłej koszuli w szkocką kratę.

#WYJAZD

Tu-i-teraz XXI wiek, dzień 23 lipca 2015. Lotnisko Chopina. Startujemy na spotkanie przygody.... The Great Adventure!
Welcome to Glasgow Airport. W Warszawie 36 st. Celsjusza, a ponad dwie i pół godziny dalej temperatura spada dwukrotnie. Może tu jest inna skala? Jakież Kelwiny czy Fahrenhajty? W Polsce rekordy suszy i upałów, tutaj: pogoda brytyjska. Dość chłodna w relacjach. Podobno przenosi się na ludzi.
Pierwsze wrażenia są zaskakujące. Owszem, znamy brytyjski konserwatyzm. Wiemy, że mają tu jeszcze królestwo, ale taki wystrój lotniska? Może przypadkiem cofnęło nas w czasie? Z rozrzewnieniem podziwiamy powycieraną, brązową wykładzinę podłogową i pożółkłe antyreklamowe plakaty na ścianach. O! i jeszcze kolejka do kontroli dokumentów?! Który mamy rok? 1990? Ale jak wkleić wizę wjazdową do plastikowego dowodu osobistego?
Na szczęście kolejka się rozdzieliła, a my nie jesteśmy już gośćmi ostatniej kategorii. Ludzie z tamtej epoki dobrze wiedzą o co chodzi. Za nami kłębi się kolorowy tłum. I oczywiście chodzi o kolor ubrań, bo zabarwienie pejoratywne nie jest aktualnie w modzie.

Pobieżna analiza demograficzna przyjezdnych z Polski daje ciekawe obserwacje: Polacy stanowią większość na tle innych przyjezdnych. W tej większości - większość stanowią kobiety (feminimum). U mniejszości z nich, pod nogami, płaczą się rozwrzeszczane stwory (infans hystericum)

- no masz tu jeszcze batonika! - jakby zastrzyk z cukru był panaceum na bezstresowe wychowanie i nie dolewał oliwy do ognia.

Analizujemy dalej: nasza czwórka stanowi zdecydowaną mniejszość w tej polskiej większości. Mniejszość, liczoną wręcz w promilach. W promilach skali określanej jako "cel wizyty". My jesteśmy tu wakacyjnie, większość: zawodowo. Ale gdy będziemy stąd wyjeżdżać, z pewnością zmierzmy się z innymi kategoriami, również określanymi w promilach... i idę o zakład: nie wypadniemy najgorzej!

Wychodzimy do terminala. Normalnie w takiej sytuacji pierwsze kroki skierowalibyśmy do punktu nabijania rzeczonych promili, ale dziś musimy zachować powściągliwość i dyscyplinę taktyczną.

Tymczasem, nasi bojowi nastolatki, nadrabiają stracony w samolocie czas. Stukając z przejściem w swoje smartfony też próbują złapać jakąś własną nić przeznaczenia. A nawet nie nić, tylko całą sieć. Sieć ta zwie się DARMOWYM WI-FI i będzie dla naszych chłopaków jedynym wyzwaniem, oczekiwaniem i spełnieniem.

Z pewną dozą niepewności stajemy przed stanowiskiem wynajmu samochodów i groźnie wyglądającą panią. Ale widocznie tylko w Polsce charakter wychodzi człowiekowi na twarz. Pani okazuje się przemiła, pomocna i profesjonalna. Na dodatek, ekipa czterech dużych facetów, z czterema żeglarskimi tobołami widocznie robi na miłej pani wrażenie. Być może nawet budzi się w niej współczucie, gdy wyświetla na monitorze naszą rezerwację i model samochodu. Gajos, który organizował ten punkt programu, próbuje zachowawczo tłumaczyć:

- no wiesz, może być trochę ciasno, ale jakoś się przecież zmieścimy.

Przynajmniej będzie wesoło!

Mamy w tej materii pewne doświadczenia. Wesoło to było kiedyś na Krecie, w tym samym składzie osobowym, gdy odebraliśmy na lotnisku śmiesznego, małego Suzuki Jimny. Ładny samochodzik do wesołego jeżdżenia na pełnym gazie po plaży (zwłaszcza w nocy). W tym wypadku 4x4 nie oznaczało bynajmniej: 4 osoby x 4 walizki, bo auto nie miało bagażnika! Ale i wtedy daliśmy sobie radę. Tym razem stawiamy na niemiecką solidność i toporność marki Opel.



Wypełniamy formalności - na razie zgodnie z planem - na pierwszego kierowcę podkłada się mój przyjaciel, a ja, przez wrodzoną skromność, mogę ostatecznie zostać tym drugim, awaryjnym - choćby do przestawienia auta na parkingu. Doświadczenie z poprzednich naszych wyjazdów zapewnia, że Gajos raz przypięty do kierownicy, trudno daje się oderwać, co mnie, z oczywistych względów pasuje! Tymczasem - nigdy pewnie się nie dowiemy, co było przyczyną łaskawości losu, która właśnie na nas spływa. Czy uprzejmość lub współczucie miłej pani, czy najzwyczajniejszy brak innego modelu... W każdym razie z potoku słów w dziwnym szkockim dialekcie wyławiamy jedno zrozumiałe: "apgrejd" co w praktyce oznacza: lepiej za tą samą cenę. Uprzejmie pani senkujemy i prześcigamy się zarówno w drodze na wskazane miejsce parkingowe jak i w wymyślaniu upgradowanych brytyjskich marek, które mogą na nas czekać: Range Rover? Jaguar? Bentley?

- O rany! to ten? Czerwony?
- O co wam chodzi? Przecież ten kolor to nasza święta tradycja!
- Rzeczywiście! zawsze na wakacjach dawali nam czerwone! I ten Jimny na Krecie i ten Wrangler w Meksyku i ten bus na Kubie i to coś na Kosie (co prawda bez karoserii, ale z zespawaną klatką i odrzutowym wiatrakiem, jak z Mad Maxa).
- Może mamy na czole napisane: uwaga jesteśmy frajerami, dajcie nam coś odblaskowego?
- A może tu dla "prawostronnych" obowiązkowo dają czerwone, żeby śladów krwi nie było widać?
- Ale co to za dziwne logo? Vauxhall? co to w ogóle jest?

Badamy wzrokowo-dotykowo naszego nowego kompana podróży. Czerwona, strzelista sylwetka Opla Insignia w brytyjskiej szacie marki Vauxhall - wygląda nieźle. Bagaże mieszczą się idealnie w upgradowanym bagażniku. A tymczasem ja... cichutko, nie zwracając niczyjej uwagi, zmierzam do drzwi dla pasażera, by nie wychylając się zbyttno, zająć me bezpieczne miejsce. Otwieram i.... co za skucha... kierownica! Taka pomyłka będzie się potem zdarzać za każdym razem. Ale teraz ta pomyłka drogo kosztuje. Bo właśnie w tym momencie, mój prawie przyjaciel, podstępny Gajos, ze zdradzieckim uśmiechem wciska mi kluczyki, jakby wbijał pod żebro brutusowy sztylet:

- Jedziesz!
- Ale... no co ty... przecież się umawialiśmy...
- Jedziesz!



I widzę, że to nie żarty. Zdrajca odmawia konwersacji i pakuje się na fotel po drugiej stronie. Kiedy masz przed sobą zacięty wzrok człowieka, gotowego poświęcić zdobycze 30-letniej znajomości w celu osiągnięcia krótkoterminowego celu, lepiej chwilowo się wycofać. Każdy strateg wie, że nie liczą się przegrane bitwy, a wygrane wojny. A więc wojna! Smak zemsty będzie słodki! Dziś nie jesteśmy ograniczeni czasem i nie mamy żadnych planów, możemy czekać na tym parkingu nawet do zmroku. Chyba... no chyba, że ktoś wchodzi ci na ambicję, co zmienia postać rzeczy.

- Tak ze mną pogrywasz? To poczekaj!
Chłopaki przecież nie płaczą, tylko dostosowują się do okoliczności. Kierownica?: okrągła, Pedał?: na swoim miejscu. W kolejności?: właściwej! Wycieraczki, światła?: aktualnie mam w dupie. Najgorzej jest z drążkiem zmiany biegów! Prawa ręka machinalnie sięga tam, gdzie teraz znajduje się... klamka drzwi. Tymczasem lewa ręka - nie nadaje się do niczego. I nie mówcie, że do tego lub tamtego, bo ja swoje wiem.
Zawieramy więc wstępny rozejm: ja będę kręcił kółkiem i wciskał pedały, a Gajos swą prawicą ma zmieniać biegi. Dodatkowo zostanie moim pilotem, drugą parą oczu i uszu. Nie muszę ostrzegać co nam grozi: tu wbrew wszelkiej logice i z fałszywego kierunku, w każdej chwili może wyskoczyć ciężarówka.

- Cholera, dlaczego dookoła widzę same ronda?
 - W którą stronę jedziemy?
 - Na północ, tam są na mapie jakieś jeziora
 - Ha ha, mieliśmy obejrzeć stadion Celticu...
 - Człowieku, o czym ty mówisz, wyjedźmy tylko z tego piekła!
- Zapalamy, ruszamy. W tym momencie młodzi tracą szansę na zdobycie sławy i fortuny. Wystarczyłoby włączyć kamerę w telefonie i wrzucić następujący filmik na jutuba....
- Jedyńka. Gdzie teraz?
 - W lewo, nie ten pas! Szerzej! Krawężnik! Aaaa!
 - Kurwa!
 - Dwójka! Wrzucaj dwójkę!
 - Sprzęgło wcisnąłeś? Hamuj, wolniej.....
 - Rondo, kto ma pierwszeństwo?
 - Chyba tak, jak u nas, czekaj. Teraz! Nie w prawo, do cholery, objeżdżaj w lewo!

- Wrzuciłeś jedynkę?
 - A teraz jak?
 - Tu zjeżdżaj!
 - Gdzie do licha? Precyzyjnie! W pierwszą czy w drugą...
 - W drugą w lewo, ale szerzej!!! Kraaaaaawężnik....
 - Mam sprzęgło, dawaj dwójkę! Jezu, ciężarówka z prawej.
 - Ją się nie przejmuj, to jej problem, trzymaj się tego pasa, znów cię ściąga na lewo
 - Bo mam wrażenie, że ten z przeciwka mnie zahaczy!
- Mija około 7 minut, czyli mniej więcej jak stąd do wieczności.
- Jakaś miejscowość...
 - To może zrobimy przerwę?!
 - Dobra, ale jak mam jechać na skrzyżowaniu?
 - W lewo, na ten pierwszy pas, bliżej nas
 - Ale kto ma pierwszeństwo na równorzędnym? Zasada prawej ręki? Czy kurwa lewej?
 - Moment, zwolnij, zadzwonię [telefon do przyjaciela - mieszkał na Wyspach]
 - No cześć, taki problem mamy....
 - Nieważne, ja zrobię po swojemu. Jak oni się zatrzymają, to ja jadę. Gdy oni będą jechać, to ja stoję i czekam. Oni raczej wiedzą lepiej.
 - O zobacz: jakiś zamek i jezioro, zjeżdżamy tam.



Jest prawie tak, jak w dobrym roku 1986, w którym postanowiłem podjąć naukę jazdy. Gruby i gburowaty instruktor, zajmujący większość kabiny malucha, po pierwszej lekcji zdołał jedynie wydukać:

- Jeszcze raz mnie tak przewieziesz, a będziesz sobie szukał innego kursu!
Patrzę kątem oka na Gajosa i widzę podobne przerażenie. Ale on jest w gorszej sytuacji niż tamten gburowaty instruktor. Nie może mi powiedzieć:

- wy..... (-siadaj)!

Trafiamy na piękną, boczną uliczkę, bez obcych samochodów. Dlatego taką piękną! Przed nami zamek na skałach. Ręce i nogi trzęsą się jak w 40-stopniowej gorączce.

Zamek nazywa się Dumbarton i leży nad niby rzeką, a trochę zatoką: River Clyde. Nie będziemy udawać: nie obchodzą nas historie rodowe, style architektoniczne, koligacje heraldyczne.

- Gdybym interesował się historią sztuki - kupiłbym sobie sztywną flanelową koszulę i grube okulary w rogowej oprawie.

Albo jak mawia mój ulubiony, znajomy kibol:

- Gdybym interesował się piłką nożną: zostałemby piłkarzem

Chcemy chłonąć wrażenia, łapać chwile i uprawiać magię, szukając jej źródeł. Wspinamy się na mury. Wiatr urywa głowy i szarpie niebieską flagą z białym iksem. Na zatoce jest odpływ. Tabuny mew, po darmowej uczcie frutti di mare, krążą nad głowami. Skojarzenie staje się oczywiste: Ptaki Hitchcocka będą nas bacznie obserwować podczas całego wyjazdu.

W tym okamgnieniu nie spodziewamy się jeszcze, ile to odnośników i ile skojarzeń do kanonów literatury i filmu czeka na nas podczas niniejszej podróży. Wielcy twórcy, począwszy od Szekspira, Byrona i Allana Poe obserwowali przed laty te same sennie obrazy i bajeczne scenerie!

Pierwszy drogowy stres odpuszcza

- Możemy ruszać dalej!
- Dzisiaj w planie nie mamy żadnego planu.
- Wspaniale!

Zero zobowiązań i terminów. Prawdziwa wolność, ograniczona jedynie konturem szkockiej mapy! Na nawigacji wskazujemy jakieś miasto na północ od Glasgow - strzałko prowadź! Obyś mogła jeszcze przejąć sterowanie... Ale i w tej materii czynimy postępy. Bezczylna dotąd, lewa ręka, próbuje samodzielnie zmieniać biegi. Sukces! Ale druga para oczu i uszu pilota nadal się przydaje:



- Teraz w lewo! Na ten bliższy pas! Szerzej!

O co mu chodzi z tym szerzej?! Szerzej i szerzej... może później się dowiem, dlaczego taki spięty. Wyjeżdżamy poza metropolię. Lokalna droga zmienia się w wygodną dwupasmówkę. Akurat to, że wszyscy wyprzedzają nas prawym pasem, nie budzi zaskoczenia. W końcu jestem warszawskim kierowcą!

Z zaskoczeniem odnotowujemy natomiast pierwszy deszcz, który nagle zmienia słoneczne niebo w lepką szarówkę, przez którą z mżawką przebija się nasza czerwona strzała. Deszcze będą z nami jak mewy: wszędobylskie, codziennie nierozłączne, szybko nadlatujące i równie prędko znikające.

Gdzieś przy drodze miga drogowaszkaz "sandwicze" wykonujemy więc rozpaczliwy, typowo polski manewr podwójnej zawrotki na dwupasmówce. To dopiero sztuka, by w tych dziwnych okolicznościach drogowych, po zmianie kierunku jazdy, trafić na właściwy pas, a nie pod koła jadących z przeciwka („I skąd oni się tu wzięli?”) Pierwsze miejscowe kanapki z przydrożnego baru smakują wybornie. Szynka posmarowana od góry słodką, domową... marmoladą. Chłopaki trochę w szoku, ale widocznie głód jest silniejszy niż absmak. A na przystawkę - gorącą herbatka. Chłopaki z obrzydzeniem patrzą, jak my - starzy wyjadacze Peerelowskich smaków - dolewamy do herbaty mleko. Bawarka. Bawarka? Brytyjski zwyczaj spod niemieckich Alp? Czy niemiecki rytuał przeniesiony na wyspy? Spytaj Bawarczyka o bawarkę, a popatrz z równym obrzydzeniem, jakbyś chciał mu sprzedać mleko do... piwa. Dla nas: wspaniały smak dzieciństwa: bawarka jak u babci!... W tamtym innym życiu.

#LochLomond

Ale my tu gadu gadu, minęło już południe i wypadałoby, innym brytyjskim zwyczajem, zakotwiczyć w jakimś pubie, gdzie mamy nadzieję obejrzeć pucharowy mecz Legii z Botosani. Ruszamy więc dalej przed siebie. Krajobraz zmienia się niezwykle obiecująco. Mijamy coraz wyższe góry i otoczone kamiennymi murami, majestatyczne rezydencje, by w końcu wyjechać ze ściany deszczu i trafić wprost nad rozkołysany brzeg jeziora. Z czterech gardeł pada zbiorowe łaaaa (po szkocku: wow!) i naturalną reakcją jest... wciśnięty hamulec czerwonej strzały. Jezioro nazywa się Loch Lomond i tworzy park narodowy. Zasadniczo moglibyśmy zaparkować w tym miejscu na dłużej, jednakże wyraźnie brakuje nie tyle łóżek, co pubu.

Cykamy więc foty, a nasz apetyt - na większą ilość takich widoków - rośnie z każdym następnym kilometrem. Wreszcie pojawiają się nadbrzeżne hoteliki, zatrzymujemy się przy nich, ale właściciele - widocznie znudzeni ciągłym



odpowiadaniem na te same pytanie - po prostu wieszają przed wejściem praktyczne tabliczki: NO VACANCIES. Jeśli napis "no" jest zasłonięty - można pukać do drzwi. Trudno powiedzieć czy to zmowa cenowa, czy jakaś odgórna regulacja, ale ceny za nocleg ze śniadaniem są zazwyczaj takie same: 75 Funtów za pokój w hotelu lub 40 Funtów za pokój w prywatnej kwaterze ze znakiem B&B (a jest tu ich całkiem sporo). Niestety nie tylko my wybieramy na wakacje krainę deszczowców, bo miejsc zazwyczaj nie ma, a jeśli coś jest, to najwyżej jeden wolny pokój dla maksymalnie 2 osób. My potrzebujemy dwa razy tyle miejsca. Nie będziemy przecież "make a village" poprzez tak zwane waletowanie czyli fachowo: przekroczenie dozwolonego obłożenia. Nareszcie w jednej przydrożnej gospodzie są wolne dwa pokoje. Rozglądamy się po wnętrzach:

- trochę jakby z 19-wiecznego horroru lub z bajki "ten dom straszy"
- Ciemno i ponuro.

Nawet najwięksi optymiści, tacy jak my, nie mogą odwrócić kota ogonem i zarzekać się, że jest klimatycznie i stylowo. Bo dosłownie - jest strasznie. Co prawda w restauracji siedzi tłum i wszystkie miejsca są zajęte. My jednak widzieliśmy w telewizji historie, gdy w podobnych miejscach, sympatyczni goście, zmieniali się w nocy w krwiożercze wilkołaki. Postanawiamy dyskretnie się wycofać. Później dowiemy się, że to kilkusetletnia gospoda The Drovers Inn, z jakąś niebывałą tradycją i daniem firmowym - słynnym szkockim haggis. No tak! Wszystko się zgadza: haggis to krwiste, świeże flaki. Czyli jednak uszliśmy z życiem!

Tymczasem z trasy A82 mamy do wyboru skręt w prawo lub w lewo. W lewo - na logikę - oznacza dalej na północ (tam chyba nie chcemy), zaś w prawo - w głąb lądu, a tam właśnie zmierzamy. W prawo oznacza również: w góry Highlandu. Pamiętajcie Nieśmiertelnego? On w oryginale nosił tytuł Highlander - czyli Góral. Jedziemy więc w dobrym kierunku. Droga niebezpiecznie się zwęża i jakoś dziwnie kręci, traci nawet oficjalny numer i żółty kolor na mapie. Po prawej stronie sięga nowego jeziora (Loch Tay - *przyp. aut.*), a po lewej ociera o pionową skalną ścianę. My - dla przypomnienia - jedziemy stroną lewą. Wydaje mi się, że rozpiętość maski, naszej czerwonej strzały, mam już podświadomie zmierzoną. Jedziemy więc po bokach na tak zwanego stykowca, lub jak to fachowo mówią tirowcy: na piczy kłak. Okazja do sprawdzenia umiejętności drogowych nadarza się idealna - o centymetr w lewo: skała, o centymetr w prawo: lusterka mijanych z przeciwka. Cieszę się tylko, że nie jestem tym z przeciwka: ja, co najwyżej, organoleptycznie sprawdzę geomorfologię skały. Ci z przeciwka mają okazję

sprawdzić twardość wody w jeziorze. Jak to zwykle na takich romantycznych trasach bywa: barierki ochronnych "chwilowo zabrakło". A nasza trasa jest magicznie romantyczna! Na szczęście jedziemy wolno i spokojnie. Mamy czas i nigdzie nam się nie spieszy. Pełen luz. Gajos co prawda nadal coś mamrocze, żeby szerzej i szerzej, a jego skóra przybiera szarą barwę, ale to pewnie skała rzuca na niego swój grafitowy cień. Zastanawiające są tabliczki drogowe:

- uwaga-ślisko,
- uwaga-kałuże,
- uwaga-woda.

Owszem, asfalt nie jest całkiem suchy, ale nie dramatyzujemy, wszakże:

- jesteśmy w Szkocji, a tu podobno czasami pada!

(przenosiliśmy się już w czasie, zamykaliśmy pętle historii, więc niecierpliwych odsyłamy do dnia ostatniego, gdy dziwny los, znów rzuca ich na tą romantyczną drogę. Tylko w odwrotnym kierunku. I wtedy będą tymi z przeciwka - *przyp. wyroczeni*. Ale na razie cicho-sza! Bo my o tym jeszcze nic nie wiemy).

Słusznie się mówi: szczęśliwi czasu nie liczą. Dystansu również nie. Przyboczne tablice pokazują jakieś odległości, że np. do miasta X jest 30. Odkrywamy, że Szkocja jest drugim miejscem na Ziemi, gdzie obowiązuje zagięcie czasoprzestrzeni. Pierwsze takie miejsce, odkryte przez nas, jest w słowackich Tatrach.



#Rok2tysiącektóryśtam, początek XXI wieku

Zimowe ferie w ukochanej Bukowinie. Postanawiamy przejechać na Słowację, trochę dalej niż do pierwszego spożywczego przy granicznym szlabanie, dokąd jeździmy przecież codziennie. Bo podobno trochę dalej na Słowacji zbudowano właśnie wodno-termalny kompleks Tatralandia, który postanawiamy pokazać naszym - małym wtedy - chłopakom. Czego się nie robi dla naszych chłopaków! Jedna ze znajomych już tam była, więc z przejścia granicznego w Łysej Polanie dzwoniemy do niej, aby upewnić się: czy warto jechać i czy to daleko?

- to chwila moment, od granicy ze 20 kilometrów! - pada zachęta
- a, to spokojnie, jedziemy!

Jedziemy i jedziemy, mija godzina, potem druga... trasa górską przez Smokowce,

- no może w śniegu jedzie się dłużej - tłumaczę.

Nie ma wtedy ani nawigacji, ani smartfonów z geolokalizacją, ani nawet google mapy. Nawet na zwykłej, papierowej mapce Tatralandia nie została zaznaczona, ponieważ dopiero ją utworzono. Pozostał więc kolejny telefon do znajomej, która uspokajająco potwierdza: jak jedziecie od granicy, to górską drogą, około 20 kilometrów, na pewno zobaczycie, bo nie sposób ominąć. Owszem. Zobaczyliśmy!

Po trzech godzinach mordęgi ze znudzonymi, głodnymi i rozkapryszonymi gówniarzami na tylnym fotelu. To tych 20 przesranych kilometrów?!? A słynny i okrzyczany aquapark okazuje się udostępniać jeden, całkowicie zaparowany, mały basenik, w którym ludzie depczą sobie po głowach, by wejść do wody. Wszystko inne dookoła - zamknięte. Przecież jest zima! Ponadto już po godzinie 16.

Wiadomo przecież, że na Słowacji po godzinie 16 ustaje życie. Ponownie więc dzwonię do znajomej, już mniej miło i z pretensją w głosie, o to, że chyba przejeżdżała przez kosmiczną czarną dziurę, skoro jechała od granicy tylko 20 km:

- ty jakaś ślepa jesteś?
- a z jakiej wy granicy jechaliście?
- jak to z jakiej! Z Łysej Polany! Przecież wiadomo, że jesteśmy w Bukowinie!
- no ale ja miałam na myśli Chyżne...

Z powrotem wracaliśmy tyle samo. 3 godziny - rzekome 20 km.



#Highland czasu szkockiego teraźniejszego, zagiętego.

Nadal jedziemy powoli, ale coraz pewniej. Stajemy sobie przy kolejnych czarodziejskich landszafcikach, bo a to magiczny wodospad, a to ta magiczna linia kolejowa z Harry'ego Pottera, na kamiennych mostach, a to jakieś drzewko, zameczek... Na nawigacji wbiliśmy jakąś dziurę na trasie, odległość: 30, przydrożne tablice to potwierdzają: 30, więc mija godzina, potem druga.... jedziemy i jedziemy, a docelowej dziury jak nie było, tak nie ma!!! Pytam Gajosa czy na pewno wybrał miejscowość w Szkocji a nie na Słowacji, bo to też na S i czy ta linia kolejowa którą obok mijamy, to nie jest przypadkiem ten pociąg linii "Deżawi" do Hogwartu?

- o kurwa, przecież oni tu mają mile, nie kilometry!

Wreszcie jest miasteczko! Tylko jak ono się nazywa? Nieważne, potem sobie sprawdzimy.

- Szukajmy noclegu! I pubu!

Zapominamy sprawdzić.

#Warszawa, dużo później

Próbuję namierzyć na mapie tę dziurę. Nie była taka zła. Nawet nam się podobało. Nawet bardzo! Ale nie pamiętam jak się nazywała. I kombinuję, może to była ta, a może tamta? Całkiem spora, bo i Tesco było i hotele i puby i rzeka i ludzie. A na mapie jej nie ma! Zaiste prawdziwe zagięcie materii i czarna dziura. Trudno. Grunt, że udało się stamtąd wyjechać, bo podobno z czarnych dziur ciężko się wyrwać. Normalnie. Jak to w kosmosie. Czyli drugi raz uszliśmy z życiem. Nie ostatni. Ale powoli zaczynamy rozumieć: magia zaczyna działać i właśnie zbliżamy się do rozwiązania zagadki nieśmiertelności.

#Czarnadziura, czyli miasto, którego nie ma, Szkocja. Obecnie.

Chodzimy od domu do domu pukając do wszystkich drzwi B&B, o ile oczywiście z góry nie wywieszono tabliczek odstrasających No Vacancies. Najczęściej otwierają przemiłe babcie, pokazują przemiłe wnętrza, domowe warunki, aż chciałoby się wbić dalej. Niestety. No Vacancies. Ale nadzieja umiera ostatnia. Pozostał przecież jeszcze duży hotel koło Tesco. Próbujemy i... nawet ma wolne miejsca! Postanawiamy jednak sprawdzić co kryje się w secesyjnych pomieszczeniach. Krytycznym okiem wodzimy za recepcjonistą i odhaczamy punkty z czeklisty:

- miła obsługa? ...obecna!

- pub-restauracja? ...na miejscu!

- szybki WiFi? ...w restauracji, śmiga aż miło!
- skrzypiące podłogi.....tak!
- średniowieczna budowla? ...jak najbardziej! I to z kamienia!
- widok wnętrza? tak jak budowla! ...Średniowieczny.
- okna, drzwi, krany, szafki, czajnik, wykładziny? ...jak całe wnętrza! Patrz wyżej.
- łóżko? ...wielkie i wygodne! Nie skrzypiące.
- łazienka en-suite? czyli bez drzwi? ...jak tu wszędzie. Zapraszam rano. Hehe.
- Telewizor? ...płaski!
- widok z okna? ...lepiej nie patrzeć. Zresztą - nie ma jak: szyba mleczna.
- winda? w imię ojca i syna.... wytrzyma?
- Zapachy? mieszanka kwiatu jabłoni i ogrodów różanych firmy WC-MacPicker
- łazienka przy restauracji? ...Jak na dworcu w Kutnie w dobrym roku 1986. Rdza.
- Porównanie całości? ...Warszawski Hotel Polonia lub Saski w dobrym roku 1986. Na długo przed kapitalnym remontem.
- Kategoria lokalna? ...cztery gwiazdki! A jakże.
- Cena za pokój ze śniadaniem? ...Równowartość 450 zł
- Haśła z reklamy? ...Styl, szyk, elegancja, vintage.
- Dla zachodnich turystów? ...Styl, szyk, elegancja, vintage. Och. Ach.
- Dla przeciętnych polskich turystów? ...Reklamacja, awantura, fotki wszystkich, starych elementów i jednego rybika na glazurze, straszenie telewizją i prawnikami, żądanie zwrotu pieniędzy, histeryczny krzyk kobiety i pogrożki ze strony jej męża.
- Dla nas? syf, rudera, nie ciągnij mocniej za klamkę, bo się urwie, kranu też lepiej nie odkręcaj. Rewelacja! Zostajemy!



Timing jest idealny: za chwilę mecz Legii na rozłożonym w pubie laptopie. Wygrywamy na luzie. Na takim samym jak ten nasz - tutaj. Czas zamówić kolację. Hamburgery po ok. 60 zł za sztukę i piwo po ok 30 zł za tzw. pinta. Wniosek? Brytole jadący do Polski dostają trzy razy tyle, za taką samą kwotę. A nawet dostają lepsze, bo nowocześniejsze i nie średniowieczne.

W Szkocji są restrykcje dla młodocianych: bez alku do 18 lat. A jeśli w Szkocji młodociani siedzą w pubie przy stole, razem z rodzicami (o ile w ogóle zostaną wpuszczeni do środka) - restrykcje dotyczą również rodziców. Rodzice nie mogą zamówić dodatkowego kufła. Tylko na wymianę pustą na pełną. Ale w tym hotelowym pubie zasad nie przestrzegają. Chłopaki się cieszą.

Ze względu na różnicę czasu (minus jedna godzina) nasz dzień jest tu dłuższy. Nieśmiertelni podobno nie czują zmęczenia, idziemy więc obejrzeć miasteczko, którego nie ma na mapie. Nigdy więcej przecież tu nie trafimy. Skręcamy w pierwszy lepszy zaułek - droga otoczona kamiennym, omszałym murem, z którego szczelin, jak szpony jakiegoś zwierza, zwisają liście paproci. W głębi stoi ukryty domek, z mikroskopijnymi okienkami, zatopiony w kolorowych hortensjach. Byliśmy tu chyba przed laty... w jednej z dziecięcych bajek. Magia działa i otwiera kolejne części ogrodu. A to świątynię dumania, a to kwietne rabatki widoczne przez kamienną furtkę, a to potężne drzewa, kryjące w sobie tysiącletnie tajemnice. Gdyby nie stojące na podjeździe samochody, moglibyśmy nasłuchiwać odgłosów nadjeżdżającej karocy. Z zielonych, trawiastych dywanów wyłaniają się małe fontanny, a kamienne aniołki wskazują drogę w głąb zielonej głuszy.

Ryzykujemy.

- Och!
- Ach!

Tajemniczy ogród kończy się na linii wartkiej rzeki, nad którą zwisają gałęzie potężnych drzew. W ich cieniu ukryta jest... ławeczka. Spoglądamy po sobie i nie musimy nic mówić. Zresztą głos mógłby tylko spłoszyć duchy artystów kontemplujących w tym miejscu. Oszołomieni odwracamy się na pięcie. Trudno to wszystko ogarnąć. Zaglądamy więc do starodawnych pubów, degustując różne gatunki serwowane z przemysłnych nalewaków. Droga błędów i eliminacji powoli wiemy, na co trzeba się nastawiać. Przy kontuarze baru istnieje wyraźny podział. Z jednej strony blond, z drugiej dark. Blond mamy w domu (i dosłownie i w przenośni), wybieramy więc dark - ciemną stronę mocy. Od teraz moc ta będzie z nami. I to z gęsto ubitą pianą!



Obserwujemy przez okno pubu, jak nasze chłopaki, uszczęśliwione kieszonkowym bilonem, stoją pod Tesco, próbując lokalnych przysmaków. Każdemu według potrzeb, każdemu według możliwości. Ale fish&chips to nawet miejscowe koty nie ruszą.

- Wiesz co to selfi?
- Taka głupawka, która opanowała świat
- Czyli co? Powkurzamy ludzi w Polsce?! - wpadamy na elektryzujący pomysł.

Od dziś znajomi dostawać będą regularną, codzienną prenumeratę z brytyjskiej łoży szyderców :) Pstryk!

A to dopiero mija dzień pierwszy.



#dzień2

Na czym polega full scottish breakfast? To jak full english breakfast uzupełnione o pewne dodatki...

- na pierwszy rzut wjeżdżają tosty z dżemikiem, obowiązkowo pomarańczowym oraz kawą lub herbatą. Jogurty, ziarna, krakersy i mandarynki w syropie - zostawimy sobie na koniec. Jeśli damy radę. Wiadomo, że damy!
- Kelner, jak cała pozostała obsługa, jest dyskretny i profesjonalny a senkjowanie wliczone jest w cenę i przyklejone do uniformu.
- na jednym dużym talerzu każdy dostaje zestaw: fasolka w sosie pomidorowym, jajka sadzone, kiełbasa smażona, boczek chrupiący, placek ziemniaczany, black pudding (bynajmniej nic wspólnego z budyniem, lecz zwulkanizowany kawałek spieczonej na czarno niby-kaszanki) i ów straszny HAGGIS (który okazuje się inną wersją znanej dobrze kiszki, lub krupnioku) - fajnie pikantny i dobrze zgrillowany, trochę podchodzący smakiem pod naszą pasztetową.
- Najważniejsze, to natychmiast odseparować jajeczne żółtka od fasolki. Na przykład za pomocą kiełbasy - w roli tamy. Jeśli się nie uda - masz od razu przesrane. Jeśli się uda - dopiero po jakimś czasie.
- Czas trawienia: ok. 5-6 godzin
- Stopień zadowolenia: mniam mniam mniam+



Po śniadaniu młode leniwce zostają w pokoju, a nieśmiertelni ruszają na poranny spacer. Może w prawo, a może w lewo, to może pod górę, a może pójść do lasu? - Tak, do lasu!

Mijamy willową dzielnicę, lekki poranny deszczyk (well, co za niespodzianka!), kropi na schowane pod lasem pole golfowe. To swoista ciekawostka. Chyba w każdej mijanej wiosce, przy każdym ludzkim skupisku, lub nawet bez niego - na uboczach, przy drogach lub liniach kolejowych, albo wklejone w nadmorskie tereny i w górskie doliny - będziemy spotykać dwa rodzaje aktywności pseudo-sportowej. Obie związane są z nienagannie utrzymaną trawiastą murawą i obie oblegane będą, niezależnie od pory dnia i pogody, przez mężczyzn, przeważnie w podeszłym wieku,. Wolnego czasu można im tylko pozazdrościć.

1. Bowling czyli gra w kule, polega na toczeniu drewnianych, ciężkich piłek po trawiastych torach, tak, aby trafić jak najbliżej ustawionej na drugim końcu toru kuli-matki, najlepiej kosztem zbitcia kul przeciwnika. Na jednym kwadratowym polu może odbywać się kilka gier równocześnie.
2. I w końcu golf, którego kolebką jest właśnie Szkocja. Tu go wymyślono i widać, że uprawiany jest powszechnie - wszak pola są zawsze zajęte! (Ale o golfie dowiemy się więcej dopiero jutro - *przyp. wyroczeni*)



#Bukowylas

Oczywiście, że już tu kiedyś byliśmy, jakże by inaczej?! Od razu poznajemy ten las. Co prawda pisarz nazwał go dla zmyły Sherwood, ale to pewnie dlatego, by nikt tu nie trafił. My, wiedzeni znakami przeznaczenia, niczym po nici Ariadny, odnajdujemy go bezbłędnie! Te tysiącletnie buki! Konary sięgające nieba, grube - jak amerykańskie sekwoje. Dziuple - idealne na kryjówki. Splątane gałęzie, w których koronach można znaleźć schronienie. I te falujące leśne jary i wąwozy... za chwilę zza drzew wyskoczy wesoła drużyna Robin Hooda, a przy odrobinie szczęścia może spotkamy Herna - leśnego bożka pod postacią jelenia*?

(*Tak, zobaczą, ale wszystko w swoim czasie, chyba że chcesz już teraz wiedzieć, to przejdź do dnia przedostatniego - *przyp. wyroczeni*)



#lata1983-1986

to oczywiście dobre lata, w których wiele się działo. Na przykład brytyjska telewizja nakręciła wieloodcinkowy serial o Robin Hoodzie. Serial ten stał się kultowy m.in. dzięki magicznym klimatom, takim, jak ten klimat tu i teraz, w

bukowym lesie. A także dzięki nieśmiertelnej muzyce grupy Clannad, wydanej potem na płycie Legend. Clannad to oczywiście zupełnie inna bajka niż Queen i nie można porównywać tych dwóch zjawisk. W kultową rolę Robina wcielił się najpierw ciemnowłosy Michael Praed (na widok którego nasze szkolne koleżanki dostawały ataku histerycznych spazmów). A gdy ten zginął z rąk szeryfa, to dzięki magii Herna, odrodził się ponownie, w osobie blond-aktora Jasona Connery, który kontynuował przygody Robin Hooda. Ale nie takie rzeczy się w filmach działy. Ja na przykład widziałem w jakimś filmie, jak taki jeden pan reżyser zmienił dziedzica pruskiego w polskiego. Jako, że nic nie dzieje się przypadkiem, a wszystko co dotyczy tej podróży jest ze sobą splecione i połączone, to ów Jason Connery był w życiu prywatnym synem Seana Connery, który jak wiadomo był Szkotem, jednym z Nieśmiertelnych oraz komandorem-szpiegiem Jamesem Bondem także.

#Bukowylas

Skaczymy po skałach wzdłuż leśnego wodospadu. Leśnego, naszego kumpla o takim przezwisku, tu nie ma. On kiedyś też słuchał muzyki Clannad, Queen i Ultravoxu. Mieliśmy jeszcze jednego kumpla, który też pasowałby do naszej konwencji. Przeżywalimy go Bukiem, ale ksywa nie pochodziła od bukowego lasu. On również słuchał tego wszystkiego, co my i myślał, że jest nieśmiertelnym. Pomylił się.

Tymczasem z granatowego, groźnego nieba przebłyskuje słońce. Rozświecła krople deszczu, spływające powoli po bujnych liściach paproci. Magia.

Czerwona strzała wyrusza w dalszą podróż, ze smutkiem opuszczając Highland i kieruje się na nudne, nizinne tereny. Gajos postanawia spróbować szczęścia:

- Może się zamienimy w bocznej uliczce?
- Nie ma sprawy! - za kierownicą następuje mała roszada.
- Gajos!!! błagam!!! SZERZEJ!!! Szeeeeerzeeeej!!! - teraz już wiem o co chodzi.

Wież mnie dokądkolwiek

I rób cokolwiek

Wszystko mi jedno...

Ty jesteś za kierownicą, dziś wieczorem

(na podstawie Behind The Wheel, M.Gore, Depeche Mode)



#Stirling

Dalszy brak planu jest wspaniały. Jednak najwyższy czas opuścić miejscowość, której nie ma i wybrać na mapie jakiś inny cel. Metodą losową wskazujemy Stirling - brzmi dobrze i łatwo wpisać w nawigację. Klik-klik i nitka przeznaczenia a raczej wstęga szosy ciągnie naszą czerwoną strzałę na nowy azymut. Oczywiście, że jest to idealny wybór! Jakże by inaczej. Zamek na skałach widać już z daleka i zaiste - prezentuje się doskonale. Majestatyczny, ogromny, trudnodostępny. Objedźdżamy dookoła starówkę, by porzucić czerwoną strzałę u stóp zamkowej skały. Trzeba się tam wdrapać pod górę, przechodząc przez pola i las.

- Jak się nazywają te śmieszne, włochate krowy? - po drodze próbujemy zaczepić podobne do Yeti zwierzęta
- Scottish Highland! To ponoć jedna z najstarszych, opisanych ras bydła! Wyglądają dumnie - jak ten zamek.



Szkocja ma więcej dostojnych symboli, które mijamy na trasie. Na przykład wyjątkowe nekropolie. Pamiętacie jak Harry Potter znalazł stare cmentarzysko? Przekrzywione, kamienne tablice w różnych kształtach, z wykutymi napisami. Wiekowe kapliczki, niektóre zakłete w bryle masońskich piramid. To musi być prawdziwa gratka dla badaczy historii. W każdym razie budzi respekt i szacunek, z odrobiną dreszczyku, gdyby przyszło znaleźć się tu w nocy.

Na zamku dostępne są pamiątki z herbami różnych szkockich klanów. Spinki, stempelki, krawaty, czapeczki, albumy. Nas interesuje tylko klan MacLeod. Natomiast skośnoocy turyści kupią nawet gacie, byle w szkockiej kracie. I to najlepiej z klanu MacDonald.

Tradycyjnie nie oglądamy zamkowego muzeum, a skupiamy się na wrażeniach ogólnych, bynajmniej nie powierzchownych, bo historyczną atmosferę przeżywamy do głębi.

W końcu starodawna uliczka Baker Street (czy ja tą nazwę już gdzieś słyszałem?) ściąga nas w dół podzamcza.

- To może mała przekąska w kiosku?
- Co my tu mamy? Gazety, kanapki, batony, piwoooooo? Polskie? Dwukrotnie tańsze niż lokalne, w dwukrotnie większym wyborze.
- Nasi tu byli?
- Nasi tu są!

Jest południe. Co robić? Mamy dobrać na to, by zwrócić samochód w Edynburgu. Jutro już nie będzie nam potrzebny. Ale dzisiaj trzeba jeszcze coś z niego wycisnąć.



Przed nami mapa. Jesteśmy mniej więcej po środku Szkocji, wiemy już jak się jeździ, ile zajmuje to czasu, a wyprzedzanie prawym pasem mamy przećwiczone na Puławskiej w Warszawie.

- Na zachodzie: byliśmy
- Południe: płaskie i nudne. Mury Hadriana? Za daleko. Może kaplica w Rosslyn pod Edynburgiem? Tam Templariusze i MASONI schowali świętego Graala? A jak go znajdziemy? Tylko po co? Zapasy wody życia zabraliśmy z domu, a nieśmiertelność mamy przecież w pakiecie.
- Na północy: jeszcze będziemy.
- Pozostaje: wschodnie wybrzeże. Ruszamy!

#Dundee

co my tu mamy? Duże miasto. Platforma wiertnicza pompująca kasę do lokalnego budżetu. Czyli na bogato. Na nabrzeżu króluje drewniany żaglowiec Discovery, którym Scott zdobywał Biegun Południowy. Stoimy nad brzegiem rzeki Tay, szerokiej jak zatoka. Wczoraj, podobny widok mieliśmy pod Glasgow, czyli z drugiej strony mapy. Jakby lustrzane odbicie. Zwłaszcza, że wszędybylskie mewy również tutaj urządzają swój taneczny spektakl. Zatokę przecinają dwa - imponującej długości - mosty. Jeden: drogowy, wygląda całkiem nowocześnie. Drugi: kolejowy... o kurcze co to w ogóle jest? Konstrukcja chyba drewniana, z daleka wygląda jak projekt szalonego inżyniera lub dziecka, które dopiero uczy się łączyć klocki. Cały ciąg różnych pudełek zestawionych w długim rzędzie. Te w środku mają przykrywkę, czyli daszki. Te skrajne są otwarte, niektóre ażurowe, a wszystkie wsparte na dziesiątkach patyczków wbitych w taflę zatoki. A co dziwniejsze - most nie łączy obu brzegów w najkrótszy sposób, prostym wektorem od punktu A do punktu B. On tworzy przedziwną elipsę. Widocznie konstruktor miał za dużo pudełek, a wszystkie musiał wykorzystać. W linii prostej zostawały zbędne, więc by zmieścić komplet, ustawił je w łuku. Nie trzeba być fachowcem, żeby na pierwszy rzut oka stwierdzić: coś tu nie gra. I rzeczywiście: pod koniec 19 wieku środek mostu nie wytrzymał naporu sztormu i zawalił się. Niestety wraz z jadącym po nim pociągiem. Jednym z pasażerów był akurat brat konstruktora. Podjeżdżamy bliżej, by zobaczyć tego magicznego dziwołaga. W 19 wieku Tay Rail Bridge był najdłuższym mostem Europy. Mimo pierwszego, błędnego wrażenia, zbudowany został jednak ze stali. Ale widocznie jakiejś kiepskiej, skoro wiatr potrafił ją połamać jak zapałki. Most nie budzi zaufania i wygląda na nieczynny.



W 21 wieku nikt chyba nie byłby tak nieodpowiedzialny, aby puścić po nim pociągi. (Jakże to złudne założenie - już za kilka dni wypróbują wytrzymałość przęsła, o czym teraz jeszcze nie wiemy - *przyp. wyroczni*)
Zatoka tworzy całkiem ładny widoczek. Ale nie dla nas! Mimo wszystko za mało spektakularny. Zdecydowanie potrzebujemy czegoś magiczniejszego, bo kolekcjonować warto tylko najmocniejsze wrażenia. Po tej stronie zatoki siąpi deszcz (całkiem niespodziewanie). A co jest po drugiej stronie? Tam świeci słońce! A w jego blasku odbijają się dachy latarni morskiej i nadbrzeżnych rezydencji. Tam jest Kingdom of Fife! No to w drogę przez most! Ale przez ten nowy, prosty i żelbetowy.... Co nie przeszkadza, by zadziałał jak portal do przenoszenia w inną rzeczywistość



#Kingdom_of_Fife

Wóz nurza się w zieloności i jak łódka brodzi. Za nami szare miasto, a przed maską wozu łąki falujące od morskiej bryzy. Zostawiamy wspomnienie górzystego Highlandu i wyruszamy w nowe, nieznane, lecz płaskie przestrzenie. Mijamy małe, cukierkowe osady, zadbane gospodarstwa rolne i szybko docieramy do

pierwszej miejscowości na trasie, czyli do St. Andrews, stolicy regionu zwanego Fife. Czerwona strzała zostaje na głównej ulicy. Obok okazałych budynków jakiejś szkoły. Po baczniejszym spojrzeniu: raczej uczelni. Eksplorujemy jej puste dziedzińce... Kamienne gmachy ciągną się w głąb zadbanych ogrodów. To Uniwersytet St. Andrews, najstarsza wyższa uczelnia Szkocji i jedna z trzech najbardziej renomowanych na Wyspach Brytyjskich. Są wakacje, więc nie spotykamy studentów, ale atmosfera przypomina czasy młodego Sherlocka Holmesa lub Harry'ego Pottera na Hogwarcie. Skojarzenia są jak najbardziej na miejscu, ponieważ obydwójce autorów tamtych opowieści - Artur Conan Doyle i Joanna Kathleen Rowling - mieszkało całkiem blisko, w Edynburgu. Trudno sobie wyobrazić, by nie odwiedzali St. Andrews. Kolejne kroki po kamiennym dukcie stawiamy więc z jeszcze większym pietyzmem, na zasadzie...

- Pan wie kto po nim stąpał?!?



Na skraju głównej ulicy sterczy strzelista wieża, chyba katedry, otoczona starodawnymi nagrobkami. Ale coś z nią jest nie w porządku. Chuda i wysoka wieża wsparta jest... tylko podmuchami wiatru i zasadniczo nie ma żadnych innych podstaw konstrukcyjnych. Owszem kiedyś były, ale teraz leżą w proszku, a raczej w gruzach, zaznaczając na trawie całkiem okazały prostokąt imponującej (kiedyś) świątyni. Oprócz wieży i kilku śladowych murów nie zostało nic. Ale jak to-to się trzyma w pionie? Ha! wiadomo! Skoro jest starodawny Uniwersytet to na pewno kwitnie na nim Wydział Czarownic! No i stąd to oczywiste wykorzystanie magii w praktyce. Magia w służbie architektury.



Nad naszymi głowami gęstnieją stada szalonych mew. Albo jest to już ten moment w filmie nazywany hitchcockowskim napięciem, albo chwila przed nim. Biegniemy pod górę po staromiejских murach, lecz oto włącza się stop-klatka i stajemy jak zamurowani, bo mury się skończyły. Ścieżka się skończyła. Żarty się skończyły. Bariereka oddziela nas od zawieszanej nad przepaścią tabliczki "uwaga spadające skały". Co za widoki! Po prawej... klify, po lewej w oddali... szeroka, piaszczysta plaża, podobna do tych w Normandii. A po prawej, znacznie bliżej... - och! szybciej... włącz klawisz szybkiego przewijania... naprzód, biegiem!...



Kolejne wrażenia biją na głowę te dotychczasowe. Bo oto do klifowej, wysokiej skały udało się komuś przykleić... zamek. Jego obecne ruiny otoczone są z trzech stron morzem. Stojąc na skraju klifu zamek mamy nieco pod sobą, ale wystarczy nieco się zniżyć i zajrzeć w puste oczodoły okien, by zostać trafionym ostrym promieniem, chylącego się w stronę horyzontu, słońca. Dzisiejsza pogoda dopasowuje się do okoliczności. Deszcz został po tamtej stronie zatoki, a mostowy portal przeniósł nas na słoneczną, ciepłą stronę mocy. Nie martwimy się jeszcze o nocleg. Przecież słońce utonie w morzu dopiero koło godziny 22. A szczęśliwcy czasu nie liczą. To mewy nas tu doprowadziły. Czyli, wbrew pozorom, jednak nie miały wobec nas złych zamiarów. Odkryły przed nami serce swojego królestwa. Kingdom Of Fife. Teraz radośnie krążą wokół zamkowych murów i pozują do zdjęć. Czas wyciągnąć aparat, złapać ostrość i nacisnąć migawkę - samowyzwalacz magii. Pstryk!





Tymczasem mijamy całe grupki przechodniów, o wyraźnie golfowym namaszczeniu. Tego stylu nie da się pomylić z jakimkolwiek innym. Ludzie ci mówią różnymi językami, mają różne kolory skóry i widać, że przybyli tu z różnych zakątków świata. O co chodzi? Może przyjechali na jakiś swój zlot, tak jak my przybyliśmy w poszukiwaniu Zgromadzenia Nieśmiertelnych? W każdym razie młodzieży wśród nich nie widać, a płciowo przeważają samce. Jedni - dumnie dzierżą torby z kijami golfowymi, inni - trochę mniej dumnie - eksponują obowiązkowe elementy stroju: czapeczki z daszkiem, koszulki polo i buty z kolcami, jakby koniecznie chcieli zaakcentować przynależność do nobilitowanej kasty. Wyraźnie działa tu jakieś przyciąganie magnetyczne, bo wszyscy golfiści ciągną w jednym kierunku. My też biegniemy w tamtą stronę, niesieni podmuchami wiatru - zupełnie jak mewy, nasze dobre znajome. Liczba golfowych sekiarzy wyraźnie przybiera na sile, wypetniają ze wszystkich nadbrzeżnych hoteli, wychodzą z bocznych uliczek i bezwolnie idą wzdłuż wybrzeża. Niczym zombie z amerykańskich filmów o żywych trupach. Poruszają się jak w transie. Wołam Gajosa, który dziwnie przyspiesza kroku, ale nie słyszy, tylko ostro przebiega do przodu. Jego wzrok też już jest błędny. Zahipnotyzowany? Może przesadziliśmy z tymi magicznymi eksperymentami i nadużyliśmy czarów? Ale kiedy? I co tu się w ogóle dzieje? Dokąd dążą ci wszyscy ludzie? Pokonujemy na przełaj duży, kwietny bulwar i oto ujawnia się ów magnes ściągający tłumy: THE OPEN! Najstarsze na świecie pole golfowe.



Grę w golfa wynaleziono właśnie tutaj, na tych terenach. Co by nie mówić, gra w golfa stała się nieśmiertelna. Jeśli w 1502 r. został oficjalnie zarejestrowany pierwszy golfista - szkocki król James IV, a w 1518 r. urodził się w Szkocji nasz bohater - Connor MacLoed, to automatycznie nasuwa się pytanie - czy drogi obu tych nieśmiertelnych kiedyś się skrzyżowały? Trzeba to będzie dokładnie sprawdzić. Potem.



#TheOpen

Zaczynam coraz bardziej martwić się o mojego kumpla Gajosa. Bredzi jak w malignie, że on tu zostaje, że odnalazł kres swej ziemskiej wędrówki, że jest spełniony, że oto trafił do celu i to za jednym razem - HOLE IN ONE! Muszę go siłą odciągać. Wyrwa się i gdzieś biegnie. Opętany. A raczej THE OPENTany! Zupełnie jak te wszystkie zombiesy dookoła.

- O rany, dawno nie miałem kłopotów? - myślę na głos.
Gajos uciekł.

Obserwuję tych, co zostali. Z namaszczeniem dotykają trawy. Stają na brzegu pola i strzelają sobie selfi. Dalsze wejście na green zastrzeżone jest tylko dla graczy, którzy mają zarezerwowany czas startowy. A nie dla każdego taki czas jest łaskawy. Nie każdy może tu zagrać. Nawet nie każdy może usiąść na drewnianej ławeczce - łańcuch i tabliczka - members only - wyraźnie selekcjonuje golfistów i pokazuje im miejsce w szeregu. Tak samo nie każdy może wejść do budynku klubowego: też members only. Dla członków. Za zadymionymi szybami pływają się grube ryby. Jak w luksusowym akwarium. Reszta może się jedynie ogrzać w ich blasku i polansować na skraju pola golfowego.

Podczas naszej szkockiej jazdy, mijaliśmy po drodze wiele pól golfowych. Niektóre w pięknej scenerii, wśród przyrody. The Open otoczone jest miastem i stadionowymi trybunami dla widzów. Wizualnie - nic szczególnego, żadnego romantyzmu i naturalnej magii. Ale to właśnie ono stanowi Mekkę wszystkich golfistów z całego świata. Profilaktycznie zabieram naszych chłopaków, aby, tak jak Gajos, też się czymś nie zarazili. Profilaktyka, chociaż im to raczej nie grozi, podobnie jak raczej nie grozi im Uniwersytet w St. Andrews. Ale trzeba zachować czujność. Chłopaki koncentrują się na zaspokojeniu podstawowych potrzeb, z najniższego piętra piramidy Maslova: jedzenia i dostępu do Wi-Fi. A nawet w odwrotnej kolejności.

Gajos zginął. Czekamy już tak długo, że chcemy położyć na nim golfową łaskę, gdybyśmy takową mieli. Ale co to?

- coś tam się kłębi w oddali!

W bocznej uliczce przy samym golfcourse. Sprawdzam.

- Aha: sklep golfowy! Bingo! Hole in one!

Gdybym nie znał mojego kumpla, to szukałbym gdzie indziej. Życie nie jest jednak aż tak skomplikowane, jak się na pierwszy rzut oka wydaje...



- zwłaszcza gdy się zna scenariusz, Panie ReZyserze.
- Szczęśliwy Gajos w czerwonej czapeczce golfowej z logo The Open na tle czerwonej strzały z logo Vauxhall. Pstryk!
- Każdemu według potrzeb, każdemu według możliwości!
 - Ruszamy dalej.

A dalej... słońce chyli się ku zachodowi, ale szczęśliwi... i tak dalej i tak dalej... bo im dalej tym lepiej! Coraz więcej falujących łąk, coraz piękniejsze morze, coraz ciekawsze rezydencje. Zwłaszcza taka jedna, która pojawia się na horyzoncie - wygląda jak ogromny zamek, z setkami pokoi.

- Zdobywamy go! Brama otwarta!
- Ale z bliska to nie zamek, to hotel. Nie byle jaki, luksusowy Fairmont St. Andrews. Obejrzymy go fachowym wzrokiem. Otoczony polami golfowymi, spektakularnie położony na klifie. Najtańszy pokój, w sezonie, za około 1300 zł. Tu pewnie nie będziemy nocować, ale przynajmniej odznaczmy na czekliście...

- i zrobię parę fotek... poczekajcie, tu zaparkuję, o wysiadę na chwilę... fajne ujęcie....
- Taaaaaataaaaa [piiiiip] moooooja nooooooogaaaaaaawaaaaaa!
- co jest?
- wjechałeś mi na nogę! - Młody drze się w niebogłosy, lecz nogi spod koła wyciągnąć nie może.
- Rety, już wsiodam, kluczyki, szybko, gdzie są kluczyki - ruszam do przodu - żyjesz?
- Noga cała.... Polacy, nic się nie stało!

Czerwona strzała jest bardzo fajna, ma tylko jedną wadę: ręczny hamulec. Zamiast tradycyjnej, manualnie zaciąganej wajchy, posiada przycisk - cholerny guzik, który nie wiadomo kiedy zadziała, a kiedy nie.

- Ale za to jakie mamy zdjęcie! - Migawka lustrzanki jest szybsza niż fala dźwiękowa, a fotka reklamowa wychodzi nieprzeciętna.

A takie akcje to dla nas nie pierwszozna.

#Dwatysięctórystamrok, wiek XXI, początek.

Wycieczka z synem do Warszawy z wykorzystaniem komunikacji miejskiej. Dla młodego to atrakcja, by przejechać się pociągiem, autobusem i tramwajem. Tramwajem po Alejach Jerozolimskich, spod Rotundy. Za sekundę drzwi wagonu mają się zamknąć, ale nadpobudliwe dziecko jest szybsze nawet niż migawka

lustrzanki. Wkłada głowę pomiędzy drzwi i metalową barierkę. Hydrauliczny dociskacz domyka drzwi i przyciska Młodego za szyję.

- Taaaaaataaaaa [wtedy jeszcze nie zna piiiiip] moooooja głoowooooowaaaaaaawaaaaaa!

Dopiero przystanek na Dworcu Centralnym uwalnia głowę z pułapki. Umiejętność pakowania się w kłopoty, to też jakaś umiejętność.



#Fife

To może pojedźmy już dalej. Zwłaszcza, że z głośników czerwonej strzały rozbrzmiewają czarodziejskie riffy gitar Dire Straits z płyty Alchemia. Alchemia bardzo logicznie i naturalnie łączy się z magią. Odwiedzamy kolejne, nadmorskie miasteczka, a raczej eleganckie, butikowe kurorty, z małymi rybackimi portami i wąskimi uliczkami, przez które ledwo przeciska się czerwona strzała. Nadbrzeżne knajpki, gdzie ludzie spokojnie i bezstresowo spędzają weekend. My też jedziemy sobie bezstresowo, tym razem przy muzyce Jean-Michele Jarre'a i przy wyjątkowo pięknej pogodzie i zachodzącym właśnie słońcu.

- Zachodzącym słońcu? A kiedy to zleciało?
- To może znajdziemy jakiś nocleg i też usiądziemy, jak ci ludzie?
- Dobrze!

Jest tylko jeden problem... a właściwie trzy:

- weekend
- wyjątkowo piękna pogoda
- zachodzące słońce.

Inni przyjechali tu przed nami, wcześniej zajęli wszystkie miejsca noclegowe i teraz mogą bezstresowo... itede itepe.

Zaczyna się robić nerwowo. Kolejny kurorcik i sytuacja się powtarza. Jeszcze piękniejsze uliczki, schodzące pionowo do samej wody, jeszcze bardziej romantyczny porcik, jeszcze lepsze knajpki. No Vacancies.

Rozdzielamy się i wchodzimy już wszędzie - do hoteli, kwater, pubów, restauracji, nawet na pole z domkami campingowymi.

- A macie namiot? moglibyście się tu rozstawić...- ktoś podpowiada
- Niestety, mamy tylko śpiwory.
- Och, I'm so sorry... bla bla bla...

No i przed nami ostatni kurorcik na tym wybrzeżu...

- No Vacancies.
- To może wróćmy do tego poprzedniego i spytamy ponownie?

Wracamy. Nothing.

- To może w tym jeszcze wcześniejszym?

Pytamy. My: czterej głodni desperados.

- W takim razie, w tych romantycznych okolicznościach przyrody, kupimy pizzę, a potem wejdziemy do pubu, przesiedzimy tak długo, dopóki nas nie wyrzucą i... będzie dobrze! Fotele w naszej strzale jakoś się rozkładają, więc do świtu przeczekamy.



- Nie takie rzeczy się robiło! I to w maluszku! - jako starzy wyjadacze próbujemy wprowadzić odrobinę humoru do niniejszej akcji.
 - A co wy macie takie nietęgę miny? - pytamy Młodych - Forever young!
- Zaczynamy realizację zaimprovizowanego naprędce planu. Pizze zjedzone na ławce, w jachtowej marinie, smakują wybornie. Teraz trzeba tylko wybrać parking, a dalej jakoś pójdzie.
- Tata...
 - Wujek....
 - Coś nie ten teges?
 - A można włączyć komputer albo poszukać w smartfonie? - drążą temat.
 - Sorry, te wasze aplikacje oczywiście nie działają, wtedy, gdy są potrzebne.
 - A możesz gdzieś zadzwonić? - nie odpuszczają.
 - Wymiękacie? - hmmm, widzę, że wyraźnie wymiękają, czas więc wziąć sprawy w swoje ręce, w klasyczny sposób.

Nocny telefon do Polski, czyli wykorzystujemy pierwsze koło ratunkowe:

- No cześć, jestem w Szkocji, miejscowość nazywa się tak i tak, podaję współrzędne..., region Fife, mamy auto, internet nie działa, nie zadawaj pytań, wszystko potem-potem, potrzebujemy nocleg. Gdziekolwiek. Tak, cztery osoby.

Dwa kawałki pizy później...

- Są wolne dwa pokoje - brzmi głos z odległego Centrum Realizacji Spraw Trudnych i Niemożliwych - miejscowość Leven, około 20 kilometrów od miejsca, w którym teraz jesteście. Over.
 - Bosko! ale na pewno 20 kilometrów? To może na Słowacji?
 - Co? - Głos nie rozumie aluzji.
 - Nic, nic, to takie Deżawi, rezerwuj! Chłopaki zwijamy mandżur i w drogę!
- Czerwona strzała, która już naszym najlepszym przyjacielem jest, mknie w mroku jak po sznurku, tym razem omijając wszelkie czarne dziury. A w hotelu? Pub czynny jeszcze przez dwie godziny!
- He he, spokojnie, zdążymy.
 - Gajos, zobacz! Nawet bilard tu mają! Jak w Bukowinie!
 - No to cheers, magii niech będą dzięki.



#dzień3

Dopiero trzeci i aż trzeci dzień włączęgi! Trudno w to uwierzyć? Jeszcze tylko full scottish breakfast i jedziemy do Edynburga. Zaledwie półtorej godzinki i przed nami kolejna zatoka, kolejny most. Forth Road Bridge. Bagatela, tym razem to dwa i pół kilometra żelazobetonu wiszącego nad wodami Firth of Forth. Następny portal do całkiem innego świata. Witajcie w Edynburgu. Musimy jeszcze zatankować paliwo. Czerwona strzała nie wypłała zbyt wiele. W końcu nie grała wczoraj w bilard. Odnajdujemy stację zwrotu pojazdów w podziemiach dworca kolejowego, a stąd już tylko parę kroków spacerem do hotelu. Pamiętajcie o zaletach hotelu w centrum? No to się zameldujmy.

- Halo, we've reservation for two double rooms...
- Dzień dobry, ale tu można mówić po polsku!

#Edynburg

(czy macie gdzieś na półce płytę "Hounds of Love" z dobrego roku 1985? czas ją włączyć. Teraz! Natychmiast! - *przyp. reZysera*)

Historyczne centrum miasta rzeczywiście robi niesamowite wrażenie. Wygląda jak przecięta na pół bułeczka hot-doga. W jej zagłębieniu, ze wschodu na zachód, biegnie linia kolejowa. W samym środku znajduje się dworzec kolejowy Old Waverley. W zagłębieniu hot-doga jest jeszcze park. Jak nowojorski Central Park: zielono, młodzieżowo, spacerowo, i wesoło. Ale kiedyś nie było tutaj śmiesznie.

#Średniowiecze

W XXI w. park nazywa się Princess Street Gardens, ale w średniowieczu, w naturalnym zagłębieniu bulgotało bagienne jezioro, do którego spływały miejskie ścieki. W średniowieczu popularną rozrywką było polowanie na czarownice i właśnie w tym jeziorze sprawdzano ewentualną winę lub niewinność osoby podejrzanej o czary. Jeśli potencjalna wiedźma szła na dno...

- oj, jednak była niewinna!

Jeśli jednak wypłynęła:

- oooo!, To nieczyste sztuczki! Trzeba się nią poważnie zająć! - a zajęcia takie bywały bardzo wymyślne.

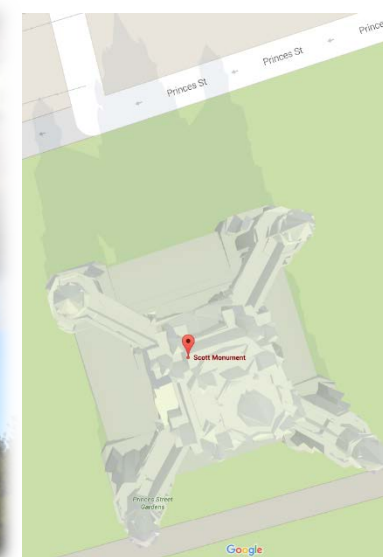
W ten sposób sprawdzono kilkaset osób. Większości z nich udało się zrehabilitować i udowodnić swą niewinność. Dzięki temu, na tym żyznym gruncie, po zasypianiu jeziora, roślinność kwitnie wyjątkowo bujnie.



(...) **Obudź się! Słuchaj mnie, słuchaj mnie, mów do mnie!**
Nie spłoniesz na stosie. Twa krew się nie poleje. Przyznaj się, dziewczyno! Idź na dno!
Czerwone, czerwone róże... Bukiety kwiatów. Czerwone, czerwone róże...
Spiritus Sanctus in Nomine... W imię Ducha Świętego...
Biedne maleństwo... Czarny ptak! Skrzydła w wodzie., Idź na dno, na dno!
Czerwone, czerwone róże, Bukiety kwiatów. Czerwone, czerwone róże. Bukiety kwiatów.
Deus et dei domino... Pan i Bóg...
O co chodzi, dziecko?
Błogosław mi, ojczy, bo zgrzeszyłam. Pomóż mi, posłuchaj mnie!
Czerwone, czerwone róże! Czerwone, czerwone róże!
Wątpię w twą niewinność!
Pomóż temu czarnemu ptakowi! U mej nogi ciąży kamień.
Ona jest wiedźmą! Bądź przeklęta kobieto!
Co powiecie, dobrzy ludzie?
Winna! Winna! Winna!
Odpowiadam za swe czyny
Och! Niewinna!
Pomóż temu czarnemu ptakowi!
Obudź wiedźmę! Wyjdź z wody!
(na podstawie "Waking The Witch", K.Bush)

#Edynburg

Nad parkiem góruje 'diabelski młyn'. Skąd taka nazwa? Nie wiadomo. Ale tutaj pasuje idealnie do okoliczności historycznych. A dla równowagi mocy: obok jest symbol odległej, galaktycznej przyszłości - postawiony w pionie... myśliwiec X-Wing z Gwiezdnych Wojen. Gotowy do startu. Miejscowi mówią, że to jakiś Scott Monument, ale my swoje wiemy. W oryginale był srebrzysty i błyszczący, teraz jest ciemny - albo pokryty patyną czasu, albo pomalowany dla niepoznaki. Takim samym leciał Luke Skywalker atakując Gwiazdę Śmierci. Długa sylwetka, tylne, skrzyżowane w X stateczniki - ten model rozpoznamy na końcu wszechświata. Skoro mają tu takie gadzety, to czym jeszcze nas zaskoczą? X-Wing stoi vis a vis naszego hotelu, więc będziemy go mieli na oku. A moc już od dawna jest z nami! Lustrujemy wzrokiem miejską przestrzeń. Na brzegach przekrojonego hot-doga pną się w górę kilkupiętrowe ściany szarych kamienic. Nasza strona bułki nazywa się Princess Street. Tu znajdują się domy towarowe i tak zwane Nowe Miasto.



Po drugiej stronie parku, czyli za przecięciem bułki, położona jest Starówka, z głównym ciągiem turystycznym Royal Mile. To historyczną ulicą, prowadzącą do samego zamku. Pokaznych rozmiarów forteca zamyka tę staromiejską dzielnicę i góruje nad starym miastem. Pozostałe skrajnie hot-doga również zwieńczone są wzgórzami. Kamienice rosną jedna na drugiej. Widocznie te bogatsze lub silniejsze potrafiły wznieść się wyżej, by mieć więcej szans na schwytanie słonecznego lub księżycowego światła. Kto wie, które z tych świetlnych źródeł miało większy wpływ na rozwój Edynburga? Podobno w nocy też się tu wiele działo. Oj działo. Tu dorastał i studiował oraz czerpał inspiracje Artur Conan Doyle - autor mrocznych historii rozwiązywanych przez Sherlocka Holmesa. Dla stylu i architektury tego miasta wielopoziomowość ma niebagatelne znaczenie. Można natknąć się na kamienice wyrastające niejako spod ziemi, gdyż stojąc na poziomie ulicy, widać jeszcze kilka pięter poniżej. Tam raczej nie dociera światło, więc pewnie mieszkają tam straszne stwory - Morlokowie? My na razie pozostajemy na powierzchni ziemi, więc jesteśmy Elojami. Do podziemi trafimy później. Wiele ulic przechodzi w wiadukty, niektóre krzyżują się ze sobą na różnych poziomach i nie można być pewnym, który z nich jest najniższy, a który najwyższy. Dodatkową komunikację w pionie zapewniają strome schody, przenikające czasami przez ściany budynków, prowadząc na kolejną płaszczyznę. Trudno się połapać który z poziomów to tak zwane "zero" czyli parter. Royal Mile leży wyżej niż Princess Street, a ta z kolei jest wyżej niż parkowe błonia. A stamtąd można zejść schodami jeszcze niżej, na poziom stacji kolejowej. Normalnie czary-mary. Czyli magicznie! I o to chodziło.

#DźwiękiMiasta

Jak się już zorientowaliście, muzyka odgrywa ważną rolę nie tylko podczas tego wyjazdu, ale także podczas całego okresu naszej nieśmiertelności. A jak nazywa się artystka, która ma prawo oprowadzać nas po Edynburgu? Czyja muzyka i głos wpisują się w tę metropolię? Tylko Kate Bush! To ona najlepiej oddaje wszystkie dziwne dźwięki tego miasta. Śmiech i smutek, deszcz i szum wiatru, dźwięki dud i głosy potępieńców, bicie dzwonów i gwar tłumu. To piękna, pełna niesamowitych klimatów, muzyka. To pięknie i pełne niesamowitej, wręcz niepokojącej atmosfery, miasto. Szarość przelewa się przez kamienną zabudowę, by nie skończyć się na linii dachów. Nostalgiczny grafit odbija się na niebie, miejscami przechodząc w ciemny granat, dodając tym samym powagi lub nawet grozy.





Nieśmiałe promienie słońca tylko z rzadka wyłuskują miedziano-złote zdobienia, gzymsy i kominy. Nawet mewy ubrały popielate peleryny, wstydliwie ukrywając w mieście swą nadmorską biel.

Gdyby nie zielona plama parku i kilka kolorowych, kwiatnych bulwarów pod zamkiem, można by utonąć w melancholii lub na stałe zakonspirować się w barwnym wnętrzu niezliczonych pubów. Puby to tradycja, żywa tkanka, cudowny azyl i gorący klimat. Puby to gwar rozmów o niczym, czasem dźwięki muzyki, przekrzykiwania kelnerów, przypadkowe znajomości, brzęk szkła. To dusza tego miasta. Już wiecie, że nie interesują nas muzea. Interesują nas odczucia i magia. A co wyraża je dobitniej, niż wspomniana dusza? Dlatego najwyższy czas ruszyć do pubu.

**Gdybym tylko mógł,
Umówiłbym się z Bogiem.
by zamienić się miejscami,
Aby przebiec tą drogą,
By wbiec na tę górę,
By wspiąć się na ten budynek.
Mówię, gdybym tylko mógł, och...**

(na podstawie "Running Up The Hill", K.Bush)



#pantharei

Wstępne sprawdzenie wypada pozytywnie. Nawet odkrywamy lokalną, meteorologiczną jednostkę czasu. To tzw. jeden pint, czyli półkwarta. Odpowiada pojemności ciut większej niż pół litra, odliczanej - na osi czasu - jednym obłokiem. To z pozoru zawile zestawienie, w praktyce jest bardzo proste. Gdy nadchodzi deszczowa chmura, trzeba wskoczyć do najbliższego pubu, zamówić jedną pintę napoju i przeczekać do ustania opadu. Istnieje widocznie niepisana umowa między meteorologami i barmanami, bo deszcze są zazwyczaj przelotne, za to regularne. Nie można doprowadzić do sytuacji, by puby zbyt się przepęłniły, ale całkowite wyludnienie również im nie grozi. Rzadko można spotkać meteopatów, którzy próbują tłumaczyć podtopienie lub wręcz zalanie zbyt intensywnymi opadami. Podobno w Szkocji ogólna liczba opadów w ciągu roku jest jednak niższa niż w Polsce, co potwierdza meteorologiczną teorię spożycia. Pantha rei. Wszystko (w) płynie!



#strachyNaLachy

Edynburg to miasto grozy. Podziemne korytarze i lochy. Zamurovani żywcem ludzie, średniowieczne tortury, zbrodnie i zbrodniarze, duchy i zjawy, nawiedzone komnaty na zamku.... Tłumnie ściągają tu poszukiwacze zjawisk paranormalnych, by doświadczyć wakacji z duchami. Po wizycie w pubie to niezbyt trudne, ale ponoć są i tacy, którzy próbują naukowo badać i mierzyć obecność ektoplazmy.

- Buhahahaha! Hehehehehe!...- i zasadniczo tyle w tym temacie... - gdyby nie straszliwa rola.... Gajosa.

Specjalnie dla naszych młodocianych wybieramy 'strachliwy' program miejski i z międzynarodową zbieraniną turystów stawiamy się na zbiórce. Są pewne stereotypy dla miejskiego przewodnika: grube, okrągłe szkła okularów, polarowa bluza i rybacki bezrękawnik, oraz parasolka do wskazywania drogi. Ponadto monotonnie usypiający głos, wypływający jak katarzynka, setki dat i nazwisk, których i tak nikt nie słucha i nikt normalny nie byłby w stanie spamiętać. Tymczasem na naszą grupę czeka kobieta-jak-widmo. Biała cera, białe włosy, zaciśnięte złowrogo usta, odziana w strój sado-maso i czarną pelerynę. Bach! Trach! Z całej siły uderza podkutymi kozakami w trotuar, aż iskry skaczą i z przytupem zaczyna swój program. Głos niczym dzwon! Te gesty, ta mimika! Perrrrrefekcyjna dykcja z teatrrrralnym, brrrryjskim Rrrrr. Aktorrrrrstwo pierrrrrrwsza klasa!

- Nikt dzisiaj nie uśnie prrrrrroszę wycieczki!

Zwłaszcza, że pani-jak-widmo zamierza wybrać sobie asystenta. Wieloletnie doświadczenie szkolne pozwala zastosować japońską technikę unikową 'ja-to-nie-ja', ale na wszelki wypadek w odwodzie trzeba zachować niezawodny hiszpański trick 'spierdalamento'. Gajos nie zachowuje czujności i wpada jak rybka w sieci. Oczywiście ku uciechu całej międzynarodowej grupy. Przewodniczka rrrrrzopoczyna swą eksprrrrresyjną przemowę na temat lokalnej specjalności, czyli wyszukanych tortur ćwiczonych tu przez stulecia, a biedny Gajos miauuuuu posłużyć za żywy eksponat. Idzie jak baranek na krwawą rzeź. Wyrwanie języka, obcinanie uszu, łamanie kołem:

- Witajcie w Edynburgu!
- A teraz drogi asystencie stań przodem do tego muru! - przewodniczka ustawia Gajosa.

Kobieta-jak-widmo w sekundę zmienia oblicze i przepoczwarza się w demona. W jej rękę już kręci się i wywija długi, skórzany pejcz!

- Trrrrach - biczem w tyłek Gajosa.
- I przez plecy! I jeszcze, jeszcze! - Wycieczka bije brawo! Bis! - Trrrrach!



Zaczynamy zwiedzanie, wciskając się w mroczne, zatęchłe zaułki, bramy w których żywcem zamurowano cierpiących na dżumę, by dogorywali w męczarniach. I wreszcie schodzimy do podziemi. Cisza. Ciemność. Rozbłyska mała świeczka w dłoniach kobiety-widma. Jej postać zmienia się teraz w upiora. Podobno co jakiś czas, na zdjęciach wykonanych w tych kazamatach, pojawiają się zjawy. Podobno.

Dzisiaj ma miejsce nocna rozszada pokoi: ja kwateruję z Gajosem. A chłopaki oddzielnie - czyli najlepsza metoda, jak z eleganckiego pokoju, w jedną noc, zrobić tzw. bardachę. Spuszczamy zasłonę milczenia. O, znowu kaszaniasty haggis śniadaniowy... wchodzi dobrze, za to jajecznicza z proszku - wychodzi... bokiem. Dlaczego ludzie na Ziemi próbują serwować jedzenie dla kosmonautów?

#Highland

Myślami jesteście już dalej, za godzinę ruszamy na wycieczkę w góry. Tym razem testujemy zorganizowaną formę zwiedzania: autobusem... ponieważ, ponieważ...
- no jakie to proste!

Ponieważ chłopaki nie mają jeszcze prawa jazdy! Grupka kilkunastoosobowa, kameralna zbieraninka z całego świata: Ameryka, Indie, Niemcy. No i Polska:

- Hełoł zubrovka! - Nasz przewodnik a zarazem kierowca mini-busa to Szkot z krwi i kości. Wie o co chodzi. Kawał chłopca w kraciastym kilcie i mocnych glanach, ma swoje poglądy i potrafi je udowodnić.

I znowu inna, niekonwencjonalna forma zwiedzania. Kierowca-przewodnik przez lusterko wsteczne nawiązuje kontakt wzrokowy z grupą, jednocześnie prowadząc dialog przez doczepiony mikrofon. Jedną ręką dzielnie kręci kierownicą, a drugą - trzymając w górze - pokazuje granice na mapie, zawieszanej pod sufitem busa. Pomimo, że to jedna wyspa, to granice, a nawet prawdziwe mury wyrastają z jego opowieści. Najpierw więc trzeba ubliżyć Anglikom (historyczno-histeryczny antagonizm, coś jak miłość polsko-ruska) wskazując granicę pomiędzy północą i południem.

- Prawdziwe zasieki i wilcze doły! - mentalne.

Ale to nie jedyna wirtualna granica na tej mapie. Nasz przewodnik pochodzi ze wschodu, bliżej Edynburga. Tam na zachodzie jest wrogi Glasgow...

- A po środku ciągnie się mur! - uderza ręką w mapę.

Dziwne, my przejechaliśmy tą trasę i muru nie widzieliśmy?! Ale międzyszkocka granica jest faktem. Zupełnie jak sympatia warszawsko-krakowska.



Edynburg zadziera nosa, ma historię i tradycję. Glasgow miał przemysł i pieniądze. Potem nie miał nic. Teraz tworzy nową przestrzeń, ale antagonizm - jak ten przysłowiowy smród - pozostał. Nasz krewki przewodnik nie ustaje w swych wywodach i tworzy kolejne antagonizmy. Na przykład między kierowcami.

- Ja jestem extra drajwer, inni to gamonie, po co tu przyjechali? Jeździć nie potrafią! Ej, pospiesz się! - dumnie kręci kołem kierownicy, podjeżdża pod zderzak wymagowanego przeciwnika, stosując drogowy pressing.

Och jakie to szkockie! Prawda?

- Patrzcie na tego idiotę: ale się wlecze! Jakbym ja pojechał do jego miasta i rozglądał się na boki, co on by powiedział?

Trochę logiki w tym jest, a droga wąska, urocza, można się... zauroczyć.

Zawalidroga, jadący przed nami, psychicznie nie wytrzymuje wojny podjazdowej i zjeżdża na bok.

- No to teraz gaz do dechy! - chyba wszędzie na świecie lokalni kierowcy autokarów z turystami lubią testować działanie siły odśrodkowej i na górskich serpentynach chętnie sprawdzają poziom stopień przyciągania kół do asfaltu. Spadnie czy nie spadnie? Zmieści się, czy nie zmieści? Standard. Najlepiej wtedy wyłączyć myślenie.
- Ale są też w Szkocji rzeczy wielkie: wielkie jest bohaterstwo Williama Wallace, tego z Braveheart (bo pokazał Anglikom co mu się pod kiltem kryło). Wspaniałe są szkockie krajobrazy i parki narodowe, szkocka muzyka i kraciasta tradycja - prawdziwy góralski zakapior z tego przewodnika!

Zaliczamy kolejne punkty widokowe, starodawne miasteczka, kamienne mosty. Lodowcowe wąwozy i wodospady. Góry! Tu się oddycha! Jest pięknie i magicznie, idealnie na niezobowiązującą włóczęgę. Taką jak nasza.

Pozostaje ostatni punkt programu turystycznego: destylarnia. Lubimy takie miejsca, bynajmniej nie ze względu na zainteresowanie procesami technologicznymi. Chodzi głównie o efekt końcowy. Młodzi też to chyba lubią.

#Hawana dawno temu

Fabryka rumu, niemiecka wycieczka i my - z bardzo młodymi młodymi. Upał. Przewodnik prowadzi: tu się coś zbierało, tu zacierało, fermentowało, ple-ple-ple...I oto efekt końcowy - rząd szklanek wypełnionych ciemnym, siedmioletnim Aniejo.



Ale w naszej drużynie jest taki jeden, mały, lecz nadpobudliwy, co działa szybciej niż myśli, a teraz, dodatkowo, ma pragnienie:

- Tata! Cola! Nareszcie.... [chlup]!
- Ymmmmm! Hmmmmm! Bravo Junge, Bravo! - niemiecka wycieczka chóralnie wyraża zachwyt. Nawet oni nie wypili szklanki rumu jednym haustem.
- Orey... Czary-Mary!



#Dewar's Aberfeldy Distillery, Szkocja

Tu się coś zbierało, tu zacierano, fermentowało, ple-ple-ple...I oto efekt końcowy.

- A teraz zapraszam wszystkich, którzy za zwiedzanie dopłacili po 2 funty więcej
- To my! To my!
- Oto beczka naszej Whisky Single Malt z roku 1985! - słownie: z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego - Zapraszam na degustację 30 letniej historii!
- plask! - drewniany młotek we wprawnych rękach wybija szpunt z dębowej beczki.
- Orety... Czary-Mary! Słyszysz? z 1985 roku? Przecież 1985 rok to był dobry rok! To był nasz rok!
- Wracamy!
- Tam?
- Nie, do Edynburga. Autobus czeka.

#1985

Ukazuje się singiel We are the World! Będzie jednym z największych hitów naszego świata. Świata, którego wtedy jesteśmy pępkiem. Na stadionie Wembley odbywa się jeden z najwspanialszych koncertów wszechczasów. Występują tam, w swojej szczytowej formie: Queen i Ultravox, Dire Straits i wielu, wielu nieśmiertelnych artystów.

#Quickening! Pstryk!





#2015

Edynburg. Wieczór. Hotel.

- To może pójdziemy zobaczyć ten zamek?
- No to może chodźmy, do pubu...
- W zasadzie - po co wychodzić, można usiąść w tych wygodnych, wiktoriańskich fotelach, tutaj w lobby.
- Dobry wieczór Panowie, to co podać?
- O, co za miła niespodzianka, Pan tu od dawna?
- [...]
- Pstryk!

#DzieńKolejny, następny, już nie wiadomo który.

Wiadomo tylko, że trzeba opuścić to miejsce. Na ulicy trochę pada. No kto by się spodziewał? Kolejny etap wólczeży znajduje się na niższym poziomie tego dziwnego, smutno-pięknego miasta. Ciągniemy nasze toboły na dworzec kolejowy Old Waverley. Nadal nie wiemy, czy to już pod ziemią? Nasz pokój hotelowy znajdował się na piętrze piątym. Na zabytkowy peron, co najmniej trzykrotnie, zjeżdżamy ruchomymi schodami, każdorazowo po kilka pięter. Kto by się w tym wszystkim połapał!?

- Młodości, ty nad poziomy wylatuj!



Następna stacja: Aberdeen. Ale wcześniej, przez okno pociągu, oglądamy nasz szkocki film od tyłu. Chociaż pociąg nie należy do przewoźnika Deżawi, ani Teżewo, tylko do Virgin, to ma na pokładzie funkcję klawisza <<Rewind: jeszcze raz pokonujemy znaną trasę, ale w odwrotnym kierunku. Bo oto przed nami długi most przez zatokę Firth of Forth - teleportuje nas z powrotem na łąki Kingdom of Fife. Też już tu chyba byliśmy? O i znowu te pola golfowe!

- A czy to znaczy, że za chwilę ponownie dojedziemy do Dundee?
- A czy to znaczy, że będziemy jechać tym dziwnym mostem kolejowym, który zawałił się w wody zatoki Tay?
- No co ty, przecież on był zamknięty. Sam widziałeś. Przecież nikt odpowiedzialny nie...
- tuk tuk, stuk stuk, tuk tuk, stuk stuk...
- Zdążymy jeszcze do restauracyjnego?

#Aberdeen

Aaaaaaaaby wyjść z dworca kolejowego należy okazać bilety. Dobrze, że zaplątały się gdzieś w kieszeni. Niby zimno, deszczowo, a szkockie kanary pracują. Podobno w nowym miejscu najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Ale to niniejsze, aberdinowskie, na razie nie różni się zbyt od wcześniejszych, szkockich pierwszych wrażeń:

- szare kamienice - stoją od kilkuset lat.
- deszcz? owszem, obecny!
- kwilenie mew? słychać jeszcze na dworcu. Może puszczają z głośników na powitanie turystów? Czyli nas, bo tylko my ciągniemy wakacyjne tobołki.
- Po jakim czasie ludzie wpadają tu w depresję? - Tego się nie dowiemy!

Nam żadna szkocka depresja nie grozi: bo my jesteśmy z szarej epoki, mamy w sobie taki wewnętrzny pryzmat, który potrafi rozdzielać szarość na odcienie, tworząc z nich prawdziwą feerię barw.

Odpalamy komórkową nawigację, by dotrzeć na kwaterę. Satelitarna nitka prowadzi nas przez portową dzielnicę, wzdłuż barów-mordowni po jednej i kolorowych trałowców po drugiej stronie drogi. Kiedyś człowiek posługiwał się tradycyjną mapą, dzięki czemu mógłby pokonać tę trasę w 5 minut. Ale nie ma to jak nowoczesna aplikacja, sterowana przez kosmiczną technologię. Dlatego droga zabiera nam 15 minut. W końcu kropka na ekranie oznajmia: jesteśmy na miejscu. Najważniejsze, że w kolejnym świetnym miejscu! Na samym rynku. Po jednej stronie budowla przypominająca zamek z wieżyczką, po drugiej stronie druga, przypominająca drugi zamek z wieżyczką.



Po środku pomnik zwieńczony herbem szkockiego jednorożca. Nasza kolejna baza musi znajdować się gdzieś tutaj, w obrębie prostokątnego kamiennego placu. Czyżby w tym zamku z wielkim napisem Armia Zbawienia? Czemu nie?! Numer budynku zgadza się z rezerwacją. Wchodzimy do środka

- Witamy w szkockim Centrum Alzheimer - brzmi napis na drzwiach.
- Chłopaki jesteście na miejscu! Ale zasadniczo, o czym to ja mówiłem?

Pojawiają się kolejni goście - żeglarskie torby podobne do naszych, lecz zawzięte miny i ostre rysy wskazują, że to zaprawione w bojach wilki morskie. Twardziele z krwi i kości. Wyraźnie orientują się w tutejszych meandrach i nie pierwszy raz cumują w tym porcie. Widać, że im się spieszy - muszą wykorzystać swoje pięć minut na łądzie. Puszczamy ich przodem, bo nasz czas nie ma ciśnienia, a jego interwały regulowane są jedynie pojękiwaniem młodych, gdy nadchodzi czas karmienia.

Dostajemy klucze od trypokojowego mieszkania z pełnym wyposażeniem. Niech żyje Armia Zbawienia! Plazma, blue-ray, zmywarka, pralka, cała kuchnia i oczywiście wi-fi!

- Ojej, nawet głód już minął? Niebywałe!
- Rozgościmy się! - W końcu będziemy tu mieszkać przez całą, długą, jedną dobę.



Mamy więc czas by odrobić lekcję szkockiej historii i poznać losy Williama Wallace w gloryfikowanym tu filmie Waleczne Serce. Mamy również czas, by odtworzyć i odświeżyć kultowego, jubileuszowego Bonda SKYFALL, a szczególnie sceny rozgrywane w Szkocji, gdy agent wraca w swe rodzinne strony. Od naszego góralskiego przewodnika wiemy, że Skyfall istnieje. Wiemy też - mniej więcej - gdzie go szukać. Fajnie byłoby się wybrać do źródeł. Ale to później-później. Zobaczymy co słychać na zewnątrz. Główna ulica tętni życiem marketów i centrów handlowych. Ruch koncentruje się w kompaktowym sercu miasta i rzeczywiście jest tu dość gwarno. Również w Aberdeen słychać dookoła ojczystą mowę. Bliżej portu, ponad miejską panoramę wystaje jedyny w mieście wieżowiec. Taki typowy wielopłytowy apartamentowiec, jak na Bemowie lub Stegnach. To polski wieżowiec.

Tuż przy samym porcie ciągnie się piaszczysta plaża, a wzdłuż niej - ciekawy obrazek. Trochę jakby z podróży Guliwera do krainy liliputów - rzędy niskich domków przypominających trochę folwarczne czworaki. Swojskie klimaty. Nie tylko architektoniczne, ale i obyczajowe: rozwieszane na sznurach pranie, rozklekotane wózki dla dzieci, miniaturowe ogródki z własną uprawą, że niby 'eko'. Skromnie ale czysto. Nadmorski wiatr z przyjemnością rozprawiłby się ze stertą śmieci. Gdyby tu były. Gdybyśmy byli w Polsce. Te śmieszne domki, ze względu na lokalizację warte obecnie fortunę, zamieszkałe są przez potomków szkockich rybaków. Pomimo miniaturowych powierzchni - twardzi i zahartowani bryzą ludzie morza ani myślą się stąd wyprowadzać - to ich azyl i enklawa.

W Aberdeen nie ma wielu turystów i bogatej oferty do zwiedzania. Miasto wydaje się spełniać funkcję wyłącznie solidnego pracodawcy i tak jest chyba postrzegane. Sprzyja temu bogactwo regionu: ropa naftowa na szelfie. Dla nas Aberdeen to kolejny etap w podróży i punkt na mapie wyznaczony przez przeznaczenie. Bo jak inaczej mielibyśmy tu dotrzeć?

Ale i my potrafimy wyłuskać dla siebie jakieś nowe bodźce do układanki. Choćby taki sklep muzyczny. Co z tego, że muzykę ściąga się teraz z sieci, a wszelkie płyty można kupić przez Internet. Prawie wszystkie. Nie wszystkie. Ponadto chodzi o symbol. A symbolika dla kolekcjonera płyt jest istotna. Symbolika jest podstawą romantyzmu. Jest w nas. Dlaczego?

#PRL lata 80te

Trzeba się cofnąć w gorące czasy. Gorące muzycznie. Chyba nigdy wcześniej, ani nigdy potem nie powstaje tyle wiekopomnych, nieśmiertelnych utworów. Muzyczna, rockowa fala, która wybuchła na zachodzie, jest tak silna, że przebija



żelazną kurtynę i dociera do nas. Najczęściej przez radio, bo zagraniczne płyty to praktycznie nieosiągalny luksus - tak samo odległy, jak księżyc, jeansy, video i zakupy w Pewexie. Na szczęście cieszymy się z prawdziwego wysypu rodzimych talentów, ubarwiających komuszą rzeczywistość. Polujemy więc na wszelkie nowości muzyczne - nowofalowe, punkowe, metalowe, elektroniczne, bluesowe, reggae i wszelkiej innej maści - w postaci czarnych, winylowych krążków. Otóż musi nastąpić sprzężenie wielu czarodziejskich wydarzeń, by cenzura dopuściła nową płytę na rynek, a potem znalazła się ona w sprzedaży i by wreszcie udało się ją zdobyć. Znamy i ciągle odwiedzamy miejsca magiczne, gdzie czasem coś rzucają na półki:

- sklep firmowy Tonpress w pasażu Wiecha, na rogu Rutkowskiego (czyli obecnie Chmielnej) - mała kanciapa, kultowej wytwórni polskich winyli - longplajów, ale głównie singli. Single Tonpressu są dość niechlujnie tłoczone i pakowane w makulaturowe okładki, co nie przeszkadza, by kolejka pod sklepem wyrastała w kilka minut po ogłoszeniu wieści o nowej dostawie. Kilkaset osób staje w oczekiwaniu na cokolwiek. Bo nigdy nie wiadomo co się pojawi: Maanam, Republika, Perfect, Mech, Kombi, Dezerter, Bajm... nie ważne! Zdobycь trzeba wszystko. Kto zliczy te godziny spędzone w kolejkach?
- Polskie Nagrania na rogu Nowego Świata i Świętokrzyskiej - wytwórnia państwowej klasyki z lat 70-tych ale również wielu nowości. Tu zdobywam m.in. pierwszą płytę Lombardu, Oddział Zamknięty lub Exodus, którą muszę trzykrotnie wymieniać ze względu na wadliwe tłoczenie - cóż, jakie państwo, taka jego sztandarowa wytwórnia muzyczna.
- kolejny punkt naszych muzycznych pielgrzymek to klub Akwarium na Emilii Plater - tu kupuję pierwszy i drugi album Republiki, wydane przez nową, prywatną wytwórnię Polton.
- Combo to sklepik w suterenie na ul. Słupeckiej, gdzie sprzedają płyty kolejnej, nowopowstałej, prywatnej wytwórni Savor, np. Rezerwat, koncertowy Perfect lub Urszulę. Tu wreszcie pojawiają się pierwsze płyty kompaktowe, które za opłatą można przegrać na kasety. Teraz nazywałoby się to czystym piractwem, ale w tamtym życiu nikt się czymś takim nie przejmuje.
- Helicon na Freta - to sklep muzyczny w zachodnim stylu, gdzie można pooglądać zagraniczne okładki płyt lub kupić ich piracką kopię na kasecie.
- sobotni Targ Perski na nadwiślańskich łąkach na Żoliborzu oraz niedzielny bazar na stadionie Skry - tu, na czarnym rynku - kupić, wymienić lub sprzedać

można wszystko. Tu uzupełnia się kolekcje, nieosiągalne w sklepach. To prawdziwa, życiowa Wyższa Szkoła Handlowa, gdzie dyplom profesorski zdobyłem jeszcze przed oficjalną maturą.

- Empik na ścianie wschodniej, czyli na parterze Domu Towarowego Junior, z którym to sklepem wiąże się następująca sytuacja (a która wiele lat później zatoczy koło historii - *przyp. wyroczni*). Przypadkiem trafiam tu na premierę heavy-metalowego albumu TSA. Podobno zespół ma rozdawać autografy. Staję więc na końcu kolejki. Przede mną co najmniej kilkaset osób, ale drzwi sklepu pozostają zamknięte. To taki standard - nie wiadomo po co się stoi i jak długo jeszcze. Zniecierpliwiony tłum napiera więc coraz mocniej, aż w końcu nie wytrzymują ogromne tafle szklanej wystawy Juniora i pękają z hukiem. Skutek może być tylko jeden - do akcji wkracza milicja. Kolejka znika, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pod postacią gumowej pały. Ludzie wpadają w panikę, uciekają i przewracają się nawzajem. Ktoś mnie popycha, podcina, przyciska do chodnika. Zomowcy pałują tych, którzy stali najbliżej wejścia. Trochę ze zdziwienia, trochę przez rozpylony gaz przecieram oczy - oto nagle jestem na przedzie nowej kolejki. Zespół co prawda się nie pojawia i nikt nie podpisuje płyt, ale to nie istotne. Bo w taki magiczny sposób udaje się zdobyć kolejny, rockowy artefakt. Koncertową, różową płytę TSA.

#30lat później

Włączam adapter. Z namaszczeniem wyciągam z kopert czarne, winylowe krążki. Wykopaliska archeologiczne z poprzedniej epoki. Pamiątki z tamtego życia. W odmętach pamięci kołaczą się wspomnienia związane z każdą płytą. Większości miejsc, w których zostały nabyte, już nie ma. Nie ma tych sklepów, ba! nie ma już nawet tych systemów ani państw: NRD, Czechosłowacji, Jugosławii, PRL-u. To jakieś czary, że kawałek kruchego winylu okazał się trwalszy niż tamte historie. Po prostu nieśmiertelny.

#Aberdeen

Jedyny sklep muzyczny w mieście. Mają tu wszystko, co było kiedyś niedoścignionym obiektem westchnień. Na przykład trudno dostępną płytę CD i DVD Ultravox - Monument The Soundtrack z 1983 r. Zapis koncertu, podobnego do tego, z warszawskiego Torwaru.

- Rozumiecie znaczenie symboli? Puszczajcie mi ją za 30 lat. Proszę.

#Aberdeen wieczorem

Jeszcze czeka nas miła, wieczorna niespodzianka, objazd po willowo-parkowych dzielnicach mieszkalnych i zaproszenie na kolację w polskim towarzystwie. Steki z wołowiny Angus to szkocka duma i tradycja. Dziękujemy Ci @Tomek!

I co zrobić z tak miło rozpoczętym wieczorem? Najlepiej utrwalić go w pubie... na obowiązkowym, codziennym selfi... na tle sakralnych witraży.

- Święte witraże w pubie? Gajos, uszczypnij mnie!



#NaMorzu

Aaaaaaaby bez problemu trafić do portu najkrótszą drogą - wyłącz aplikację GPS! Na nabrzeżu promowy kolos z Wikingiem na burcie już daje parę w kocioł (czy tak się mówi fachowo?). Doświadczeni turyści wiedzą jak zamienić siedmiogodzinny rejs w bujającą przygodę. Doświadczeni turyści wiedzą, że chytrność nie popłaca. Mają do wyboru zwykłe bilety, bilety z opcją lounge lub podróż w kabinie. Wariant pośredni jest wręcz idealny dla doświadczonych turystów. Wydzielona strefa na pokładzie, skórzane kanapy i klubowe fotele. Bezpłatne napoje orzeźwiające, kawa i herbata, mleczne krówki z Orkadów i zbożowe ciasteczka. Chrum.



Ale są jeszcze bonusy dla doświadczonych turystów w postaci kuponów do baru. Dwa kupony na osobę. Jest nas czterech, kuponów więc osiem. Plus w cudownej promocji dostajemy podwojenie magii, czyli dodatkowe osiem. Chrum.

- Och, a ci dwaj młodzi panowie są niepełnoletni? bardzo nam przykro, ale muszą przekazać swoje kupony starszym opiekunom.

- No co za historia! Chrum. - Prawdziwy cud poczworzenia? Czary. Rejs trwa 7 godzin. Kuponów jest więc 8 na pełnoletnią głowę. Gdyby doświadczeni turyści wylewali za kołnierz, mieliby do wylania po jednym kuponie na godzinę. Ale po co tak głupio gdybać?

- Zobacz z tych chytrych, co zaoszczędzili kilka funtów.
- Chytry dwa razy tracą i obijają się po pokładach.
- Parostatkiem w piękny rejs, statkiem na parę w piękny rejs... ahoj!

Tymczasem huraganowy wiatr rozwiewa chmury, odsłaniając tonące w falach słońce.

- O, jest nawet wyjście na górny deck
- Więcej!
- Stań na piętach i połóż się plecami na wietrze.
- Głupio?
- Ale za to jak cieszy!

#Orkady czyli Orkney Islands, Mainland

Ding-dong! - Wypad z baru, prom przyplłynął do Kirkwallu!

Pierwsze wrażenie? - Wiatr

Drugie wrażenie? - Wiatr urywa głowę

Trzecie wrażenie? - Ciemność! Bo nie mamy już głowy?

Nie, bo zbliża się północ!

Taxi zabiera nas na kwaterę w hostelu na końcu świata. Dwa piętrowe łóżka jak w zakopiańskim schronisku. Ale za to z własną łazienką. Czyli jednak lepiej. Jest jeszcze wspólna kuchnia i jadalnia. Luksus kosztuje 20 funciaków od głowy za noc. Plus nocne taxi z portu: niecałe 10 funciaków. Wieczór wspomnień, przy zdjęciach z naszych poprzednich, męskich wypraw: bezcenny. Czas przeszły przenika w terażniejszość.

- Było fajnie, a będzie jeszcze lepiej.

Właśnie, po raz pierwszy, wypływa kwestia czasu. To już prawie półmetek wyjazdu! Jutrzejszy czas trzeba będzie znacznie porozciągać: mamy zaledwie jeden cały dzień na te Orkady!



- Kto do cholery układał ten plan?
- Przeznaczenie!?!
- Ou, Pardon, jemu przecież ufamy!

#Orkady. Zaledwie jeden cały dzień.

Pierwsze dzienne wrażenie? - Wiatr

Drugie dzienne wrażenie? - Wiatr urywa głowę

Trzecie wrażenie - Hej, czy jest tu ktoś jeszcze? Wszystkich wywiało.

Płasko. Po lewej w oddali: wzgórze. Po prawej w bliższej oddali: miasteczko Kirkwall. Przed nami: zadbane domki, trawniki, uliczki, zatoka. Przed nami w oddali: port, jeden duży statek i kilka małych.

- Istot ludzkich?: brak.
- Samochodów?: brak.
- Mewy: obecne!
- No to prowadźcie!
- Jest Tesco - może kupimy coś na śniadanie?

#1986 i poprzedni i następny

Idziemy przez szarą Warszawę z żeglarskimi workami. Worki są trochę mniejsze, niż te w Szkocji, bo zazwyczaj służą do noszenia szkolnych książek. Zazwyczaj.

Chyba, że ma się szczęście. My oczywiście szukamy szczęścia. Szukamy w Warszawie piwa. Nie ma jeszcze Tesco. Są tylko sklepy Społem.

- W Wilanowie? ostatnio piwo widziano tydzień temu.
- Na Stegnach? nigdy nie ma.
- Na Sadybie? choćby sikaczowe Królewskie lub kwaśna Warka!? - Nie ma i nie będzie!
- Supersam na Placu Unii? tylko Karmi dla przedszkolaków
- Ostatnia szansa - na końcu naszego świata - Hala Kopińska na Ochocie: - jeeeeest! (a ściślej: ma być)... Ale skoro stoi kolejka, to jest nadzieja. Ogonek zakręca na ulicę - przynajmniej dwie godziny stania. Czas jest względny. Zapasy sklepowe są bezwzględne. Wydzielają po pięć butelek na osobę. Ale za to jakich! Kolejką wstrząsa elektryzująca, magiczna wiadomość: okocimski Zagłoba. Na tamte czasy - jak cudo z Pewexu.
- Szykujemy worki!



#Tesco w Kirkwall na końcu świata

- Może Tyskie? Albo Żywiec? Warka? Żubr? Książęce? Jasne czy ciemne?
- Nie ma kolejki?
- Nawet nie ma obsługi w kasie! Kasa automatyczna? Normalnie Magia.
- Wniosek na przyszłość? jeśli znów zabraknie w Polsce polskiego piwa, znajdziemy je na końcu świata. Np. na Orkadach.



#Shapinsay, za końcem świata

Droga do portu - oczywiście pod wiatr. Nasz cel to wysepka Shapinsay. Anna i Andrew już na nas czekają. Wsiadamy na niewielki prom, który może pomieścić tylko kilka osób i dwa samochody. Prom kursuje trzy razy dziennie. Na pokładzie jesteśmy sami. No prawie. Bo wcześniej listonosz Pat podrzucił na prom worek z pocztą, a potem zaokrętowała się obwoźna biblioteka. Czyli ktoś na końcu świata jeszcze czyta normalne książki? Obwoźne Tesco widocznie nie jest potrzebne.

- Powiedzieć, że jest wietrznie, to nic nie powiedzieć!

Rejs nie trwa długo. Już przed nami widać wyspę Shapinsay. Dość płaski kawałek lądu, wynurzający się z morza, z jednym, rzucającym się w oczy, wystającym elementem - zamkiem Balfour. Posiadłość podobno należy do znanego, szkockiego klanu. Prezentuje się godnie i nobliwie, a biegające wokół rumaki dodają tylko uroku i elegancji. Tymczasem na nabrzeżu już czekają na nas dwa pick-upy i roześmiana para. Tu wszyscy się znają i pozdrawiają. Zupełnie inaczej niż w Polsce. Mieszkańcy wysepki przyjaźnie machają do siebie - nawet po kilka razy dziennie i nikt nie narzeka, gdy trzeba po raz kolejny podnieść dłoń w przyjaznym geście. Nikogo to nie męczy, a chyba nawet sprawia przyjemność. Dziwne? Mieszkańcy Shapinsay stanowią jedną, wyspiarską rodzinę - w sile około trzystu osób. Jak 300 zgranych spartańskich wojowników w iście spartańskich warunkach - stworzonych przez naturę - mogą tu liczyć tylko na siebie. No nie tylko. Mogą jeszcze liczyć na mały sklepik w porcie. Skromniutki, czyli adekwatny do lokalnych potrzeb. Po większe zakupy zapraszamy do Kirkwall - promem. Ale mieszkańcy wysepki dobrze wiedzą, co do życia jest najpotrzebniejsze! Sklepik posiada z boku dystrybutor do tankowania pojazdów i wewnątrz regał z ofertą do tankowania dla kierowców. Policji na wyspie nie ma. Chrum.

Jedziemy środkiem wyspy. Po prawej stronie woda, po lewej stronie woda. Przy drodze stoi samotna, czerwona budka telefoniczna. Jeden z najbardziej rozpoznawalnych symboli brytyjskiej potęgi, który przeobraził się z czasem w sentymentalną pamiątkę. Symbol wiekopomnego wynalazku Bella. Alexander Graham Bell był Szkotem!



Jesteśmy na miejscu, trochę na uboczu (przecież tu wszędzie jest na uboczu!). Na lekkim wzniesieniu. Optyka się jednak nie zmienia. Nadal z jednej strony zatoka, z drugiej strony zatoka. Dom naszych gospodarzy, z pozoru niepozorny, w środku schował prawdziwe skarby! Zaczynając od konstrukcji - pod szarym tynkiem ukryte są trzystuletnie mury. A wewnątrz: prawdziwe muzeum pamiątek.



- Hełm pra-pra-dziadka, który walczył pewnie pod Waterloo.
- Obok stoi nabój pocisku przeciwlotniczego, który wbił się w ścianę w czasie wojny.
- W oknie stróżuje luneta, skierowana na zatokę.
- Co mamy tu jeszcze?... na przykład model maszyny parowej,
- niezliczony wybór zabytkowych gadżetów kuchennych: dekoracyjnych lub użytkowych
- albo takich, które służą do niczego, ale na pewno mają swoją historię i dzięki temu wywierają odpowiednie wrażenie

Wszystkie te rzeczy trzeba obejrzeć i z namaszczeniem dotknąć. Ale nie tylko przedmioty budzą tu refleksje. Bo jakoś podświadomie, lecz coraz mocniej, zaczyna pulsować w głowie pytanie:

- co na tej wyspie robić? - I to jest właśnie kluczowa kwestia!
- Po prostu być!
- Żyć pełnią życia, w zgodzie z przyrodą i nielicznymi sąsiadami.
- Obserwować przyrodę i poddać się jej rytmowi.
- Cieszyć się chwilą, która trwa tu wieczność.
- Być jak Connor i Heather z naszej bajki o nieśmiertelnych.



Wyznając zasadę, że alkohol pity z umiarem nie szkodzi, nawet w dużych ilościach, przekazujemy gospodarzom przywiezione z Polski zapasy. Na długie zimowe wieczory i na pomyślność, bo Ania jest w ósmym miesiącu ciąży! Zachłystując się krajobrazem i wrażeniami jesteśmy gotowi na dalsze niespodzianki. Nie dziwi wic nas zaproszenie od Andrew:

- To może chodźmy na plażę po... świeżą sałatę do dekoracji stołu!

Plaża jest zaledwie kilkaset metrów niżej, lecz musimy się spieszyć, gdyż dzisiaj zaklinamy i rozciągamy czas. Wsiadamy na tył niezniszczalnego pick-upa, gdzie ze szpar w karoserii wyrastają zioła, co oczywiście wzbudza kolejne okrzyki zachwytu i po chwili jesteśmy na miejscu. Plaża jest długa i szeroka, charakterystyczna dla zimnych, atlantyckich wybrzeży. Pokrywa ją biały piasek i niezliczone muszle, a także łupkowe skałki i zielone wodorosty.

- Zajechaliśmy do darmowego sklepu: może jakieś przegrzebki?

Andrew napełnia miskę wodorostami, a my stoimy jak zaczarowani przed wystającymi z wydmowej skarpy łupkowymi ścianami prehistorycznego domostwa. Te mury powstały na kilkaset lat przed piramidami i jest to tak oczywiste, jak wietrzna pogoda na Orkadach.

- Skąd wzięli się tu ci ludzie? Czym się zajmowali? W co wierzyli?



To akurat ma drugorzędne znaczenie: przeminęło z falami i wiatrem. My szukamy dowodów na nieśmiertelność, takich jak ukryte w tym piasku fundamenty. To właśnie jest aspekt o - nomen omen - fundamentalnym znaczeniu. Magiczna nitka losu, która nas tu przywiodła, powoli układa się w czytelny wzór, wyszywany na kanwie naszej świadomości.

Ale to nie koniec. Po drugiej stronie wzniesienia, na którym stoi dom naszych gospodarzy, ukryty w wysokich nadbrzeżnych trawach, znajduje się... neolityczny krąg! Całość prehistorycznego domostwa zagłębiona jest w ziemi podtrzymywanej kamiennym murem. To miejsce jest jeszcze bardziej wyraziste i magiczne niż tamto poprzednie. Ponadto zachowane w idealnym stanie. Żadnych zabezpieczeń, ostrzeżeń, elektronicznych alarmów. Żadnych autokarów, biletów, kolejek do zwiedzania, bo prawie nikt o tym cudzie nie wie. Nikt się tym nie chwali i nie rozpisuje w przewodnikach - bo po co?:

- hej słuchajcie, tu jest budowla starsza niż okrzyczany Stone Henge!



Kontemplujmy tą ciszę i niezmacony niczym spokój. Fascynujmy się mocą tworów ludzkiej bytności sprzed kilku tysięcy lat. Czerpajmy z nich energię. Siadajmy na ich siedziskach. Tylko przyroda, my i wiekowe skały. I jeszcze niezawodne ptaki. Ale po raz pierwszy mewy są tu w odwrocie. Bo Orkady to kraina maskonurów i nurzyków, które obsiadły falujące łąki i obserwują nas z zaciekawieniem. Wracamy do domu naszych gospodarzy, gdzie Ania nie próżnowała. Stół stoi suto zastawiony, a brakowało tylko dekoracji z wodorostów. Możemy zasiadać do królewskiej uczyty.

- Homary!
- Kraby!
- Krewetki!
- Wszystko świeżo złowione - ot, sąsiad przyniósł. Kraby dorzucił do homarów, bo mu się w sieci zaplątały.

Andrew rozdaje srebrne, wiekowe, szpikulce do krabów.

- Spróbujcie jeszcze tej krabowej sałatki...
- A na deser deska serów? - Jest wspaniale. Wręcz nieprzyzwoicie.



#wojna

Pod wpływem okolicznych krajobrazów, z rezydencją Balfour w tle, otwiera się jakaś klapka w pamięci. A mianowicie powraca film, na podstawie szpiegowskiego bestsellera Kena Folleta "Igła". Nadspodziewanie bliskie, podprogowe skojarzenie!

- Sprawdzam! - i wiele się nie mylę: plenery filmowe rzeczywiście pochodzą ze Szkocji, co prawda z drugiej strony wybrzeża, w okolicach Oban i Mull, ale klimat i otoczenie na tej samej szerokości geograficznej są nad wyraz podobne. Kto nie oglądał, niech nadrabia zaległości!

Ale również Orkady odegrały swoją autentyczną, wojenną rolę i posłużyły za tło do dwóch historii, które z pewnością można uznać za nieśmiertelne. Odetnijmy się na chwilę od kwestii moralnych, od tego kto był zły, a kto dobry, kto walczył po ciemnej, a kto po słusznej stronie i skoncentrujmy się wyłącznie na faktach i ich dramatyzmie. Na dwóch spektakularnych wydarzeniach z dwóch wojen światowych, w których swą życiową rolę odegrali dwaj dowódcy. Dowódcy jednej narodowości, lecz dwóch armii: cesarskiej i hitlerowskiej. Dla jednych zostali bohaterami, przez innych byli przeklęci.



#1919

Kończy się I Wojna Światowa. Na mocy porozumień kapitulacyjnych, większość okrętów przegranej, niemieckiej floty, wraz z załogami, zostaje pod koniec 1918 roku sprowadzona na Orkady, gdzie w internowaniu oczekuje na dalsze decyzje aliantów. Okręty są rozbrojone i pozbawione radiostacji, a wielkość tego zgromadzenia jest wręcz imponująca: kilkadziesiąt jednostek różnej klasy - od największych pancerników i krążowników, po niewielkie niszczyciele. Teraz, przez ponad pół roku, pozostają na kotwiczowisku w Zatoce Scapa Flow koło Kirkwall. Niemieckie załogi są pilnowane przez Brytyjczyków i nie mogą porozumiewać się ze sobą. Czas dłuży się w nieskończoność, a zwyciężona flota staje się jednym z asów przetargowych w rokowaniach weimarskich. Niemiecki admirał Ludwig von Reuter czuje, że wkrótce będzie musiał poddać okręty i przekazać je aliantom, a przecież - oprócz tych wszystkich stalowych kolosów - ma coś więcej do stracenia: dumę i honor. Z zaufanymi oficerami tworzy tajny plan, by zapobiec poddaniu floty. Następnie w sprytny sposób powiadamia dowódców wszystkich podległych mu okrętów. I oto w dniu 19 czerwca 1919 r, na cztery dni przed podpisaniem pokojowego Traktatu Weimarskiego, nadarza się okazja na realizację planu. Nie spodziewający się niczego Brytyjczycy urządzają dla swoich okrętów ćwiczenia i wypływają w morze, pozostawiając na warcie w Scapa Flow jedynie skromne siły. Admirał von Reuter tylko na to czeka. Wydaje decyzję zaszyfowaną jako Paragraf 11: rozkaz samozatopienia. Kolejne okręty przekazują umówiony znak poprzez wciągnięcie na maszt flagi sygnałowej, odkręcając i udostępniając wodzie wszystkie możliwe zawory i otwory w kadłubach. Flota powoli zaczyna tonąć, a załogi opuszczają pokłady w szalupach ratunkowych. Brytyjczycy są w szoku, nie wiedząc co się dzieje. Są świadkami niesamowitej, wręcz magicznej sceny. Część okrętów dryfuje na mielizny w ostatnim tańcu, inne pochłania głębia, kilka z nich osiada na dnie, wystawiając ponad powierzchnię wody kominy i maszty, a jeszcze inne przewracają się na bok, jak gigantyczne cielska wyrzuconych na brzeg wielorybów. Nigdy wcześniej w historii, ani prawdopodobnie nigdy później, nie zniszczono tylu okrętów wojennych na raz. Na przestrzeni lat udało się wydobyć dużą część zatopionych wraków, ale pozostałe tworzą obecnie jeden z najciekawszych rewirów nurkowych na świecie.



#1939

Drugi dowódca, który zapragnął trafić do kanonu nieśmiertelnych, nazywa się Günther Prien i jest komandorem na niemieckiej łodzi podwodnej U-47. Na swoje wielkie łowy wyrusza już na początku II Wojny Światowej, a celem staje się brytyjska baza Royal Navy w Scapa Flow. Już podczas poprzedniej wojny U-Booty kilkakrotnie - bezskutecznie - próbowały wdrzeć się do rozległej zatoki, by upolować stacjonujące tam smakowite kęsy. Brytyjczycy zastawiają pułapki: zapory i sieci, ale dowódca U-47 jest sprytniejszy. Czeką na odpowiednie warunki, bo zna swe rzemiosło. Przy bezksiężycowej nocy, podczas przyptywu, woda w przesmyku pomiędzy wysepkami i blokadami podnosi się na tyle, że U-Bootowi udaje się dosłownie prześlizgnąć ponad zatopionymi linami i obok wodnych przeszkód. Wąskim przesmykiem wdrziera się do środka rozległej zatoki i kotwicowiska Scapa Flow. Odnajduje tu dużą jednostkę - pancernik Royal Oak i odpala torpedy. Pierwsza salwa zaledwie zrywa kotwicę i brytyjska załoga nie podnosi alarmu. Nie przychodzi im do głowy, że mogą zostać zaatakowani w bezpiecznej bazie. U-Boot robi kolejne podejście i tym razem trafia celnie. Pancernik w ciągu kilkunastu minut idzie na dno wraz z ponad 800 członkami załogi. Niemiecki dowódca staje się bohaterem - zyskuje przydomek Byka ze Scapa Flow i jako pierwszy podwodniak otrzymuje krzyż rycerski krzyża żelaznego. Nawet Brytyjczycy z respektem mówią o jego brawurze i budują na Orkadach dodatkowe zabezpieczenia tzw. bariery Churchilla.



#Shapinsey

Jeszcze łapiemy ostatnie chwile na wyspie. Jeszcze słuchamy wojennych opowieści Andrew i oglądamy bunkry z czasów II wojny światowej - miejsca po stanowiskach artyleryjskich broniących przesmyków między wyspami. Jeszcze próbujemy schwytać fokę, wylegającą się leniwie na brzegu. Ale powoli czas się wypełnia. Zmierzamy więc w stronę portu, by zdążyć na ostatni prom powrotny do Kirkwall. Andrew chce nam pożyczyć pick-upa, abyśmy mogli zwiedzić Mainland, ale na dziś wrażeń mamy aż nadto. I tak nie zobaczymy na Orkadach wszystkiego, nie mamy na to najmniejszej szansy.

- Czujesz niedosyt?
- Zwariowałaś? Jeśli coś zostaje niedopowiedziane, to daje nadzieję na przyszłość.

Włączymy się więc wieczorem po Kirkwall. Najwyższy czas przetrwać dzisiejsze wrażenia. Np. w portowym pubie.

- Dobranoc.



#Inverness

Coś się kończy, coś się zaczyna. Wracamy do Szkocji lądowej. Mały turbośmigłowiec zabiera nas z Kirkwall do Inverness - stolicy Highlandu i miejsca naszego zaokrętowania. Bez większych problemów odnajdujemy w marinie nasz jacht i witamy się z Kapitanem.

- No to losujcie kabiny.

Wrzucamy więc kule do maszyny losującej i oto wraz z moim synem zostajemy mieszkańcami kabiny dziobowej. Jeśli mieliśmy kiedyś marzenia o przygodzie w czołgu, to właśnie się spełniły.

- Podwójna koja na którą trzeba się wczołgać
- Wyjście na zewnątrz: po otwarciu kłapy, przez otwór w pokładzie - jak przez luk czołgowy.
- Jest też połączenie wewnątrz - drzwi do głównej mesy, czyli do saloniku z aneksem kuchennym, łazienką i punktem dowodzenia.
- Jedyna pozycja możliwa w kajucie: pozioma.
- Młody zachwycony, a mnie jak zwykle wszystko pasuje.
- Gajos losuje kajutę rufową - 2 oddzielne kaje, z szansą na przyjęcie postawy pionowej.

W saloniku, czyli w części wspólnej, nocuje Kapitan. Jest tu również składany stół, czyli jadalnia, aneks kuchenny, stanowisko dowodzenia i wejście do łazienki.

Krótki kurs obsługi sprzętów i rozdzielamy zadania.

- Gajosy to szczury wodne - będą pomagać Kapitanowi.
- My to szczury lądowe - będziemy udawać kuchtę oraz troszczyć się o zaopatrzenie.

Jak mawiał nasz szkolny nauczyciel od przysposobienia obronnego: przy kuchni jeszcze nikt nie zginął!

Kapitan szykuje łódkę po poprzedniej załodze, a my ruszamy na miasto. Pewnie się powtórzę, jeśli powiem, że

- domy są tu szare, zbudowane z kamienia, ale starówka sprawia sympatyczne wrażenie. W markecie kupujemy prowiant na rejs i próbujemy go donieść do portu. Częściowo się udaje, tylko te jajka jakies kruche? A może oni tu sprzedają surową jajecznicę? Co kraj, to obyczaj. Kapitan zastrzegł sobie dietę wegetariańską. Budzi to pewną konsternację:
 - bo jeśli nie zagryza, to może również nie....
 - nie?
 - Uffff - w tej kwestii wszystko ma odbywać się po polsku.
 - Bandera na jachcie zobowiązuje! Czyli dawaj, paznakomimsja.



#zPokładowegoMenu

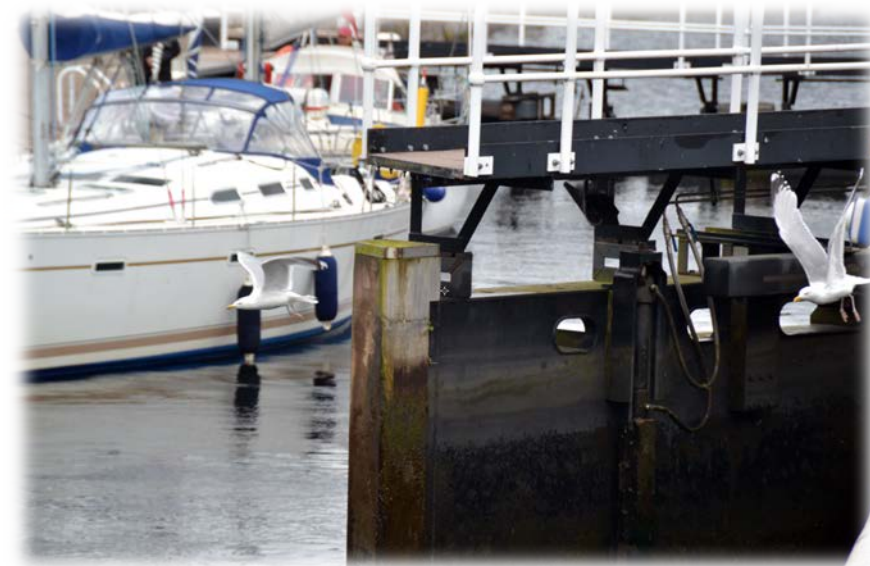
obiado-kolacje:

- hamburgery prawie amerykańskie - mięsne lub warzywne - wyłącznie ze świeżych produktów. Wyobrażacie sobie przygotowanie ponad 20 burgerów z mielonego mięsa, smażonego na dwóch lichych fajerkach, podawanych z podpiekaną bułeczką, ze stopionym serem, siekaną cebulą, pomidorem i sosem prawie seven-islands? No i jeszcze częściowo, kurwa w wersji wegetariańskiej?
- tortille prawie meksykańskie - z wkładką drobiową lub warzywną. Tex-Mexx, albo Maxx. Hehehe: jeszcze na następnym śniadaniu będą wołać o dokładkę!
- spaghetti prawie włoskie - danie improwizowane, przy braku zapasów na łodzi (żeby oni wiedzieli, co tam udało się upchnąć do środka, by zwiększyć objętość dania). Ale aż się uszy trzęsły!
- prawie bawarskie pieczone ziemniaki z duszonymi warzywami. Kalafiorek, brokułek, pomidorki, papryczki, na ostro - wtrząchają aż miło popatrzeć.
- łosoś prawie norweski, smażony z czosnkiem i prawie frytkami. Do tej pory nikt się nie połapał, skąd wzięta się ta ryba. Talerze wylizane do sucha!



śniadania:

- płatki owsiane na mleku lub wodzie z muszli, orzechami, ziarnami i świeżymi lub kandyzowanymi owocami - sycące danie, dające kopa i zapas energii na cały dzień. Przepis Kapitana, stosuję do dziś. Gajosy wybrzydząją.
- Jajka sadzone. Dla Kapitana - bez boczku, dla pozostałych - na chrupiąco!
- Szkockie śniadanie: jajecznica klasyczna, fasolka z sosem pomidorowym, tosty (niestety: nie full szkockie, bo bez haggis)
- Smażony makaron z jajkiem (czyli danie z cyklu #nicsieniemarnuje, a niektórym daje energetyczny zastrzyk do zdobywania szkockich szczytów. Z różnym skutkiem)
- Tosty szefa kuchni, albo jak kto woli: tosty dnia - w różnych odmianach: zapiekane z szynką, serem, duszonymi warzywami, czosnkiem, ziołami, a w ostateczności, po wyczerpaniu zapasów: tosty smarowane nożem).
- Ech żeby chociaż kajerkę! Albo razowego.... Nostalgia piekarnicza to tęsknota za ojczyzną, spowodowana spożywaniem wyłącznie plastikowego pieczywa.



#Rejs

Podobno na szerokich, morskich wodach jest inaczej. Na pewno jest inaczej.

- Tu zamknięci jesteśmy przestrzenią - brzegami dość wąskiego kanału, z systemem śluz i mostów.
- Tam - przestrzeń nie zna granic.
- Tu: napędzamy jacht silnikiem elektrycznym.
- Tam: w sposób do jakiego został stworzony, czyli wiatrem w żagle.

Ale dla nas, tu i teraz, takie szczegóły nie są zbyt istotne. Mamy do spełnienia pewną misję. Musimy wypełnić kilka zadań z przeznaczenia, a potem będziemy już wolni.

Pływanie zaczynamy od wstępnego dotarcia się załogi w czym pomocne mają być delfiny. Zanim więc wpłyniemy w kanał, prujemy wody rozległej zatoki w poszukiwaniu gumowatych ryb, które podobno są ssakami. Może rzeczywiście są ssakami, bo przecież ryby głosu nie mają. A delfiny to i owszem. Mają nawet swój rozum i potrafią się w życiu nieźle ustawić. Akurat my coś o tym wiemy!

#Karaiby dawno temu

- ej chłopaki, zobaczcie: tu jest taka ulotka - pływanie z delfinami, może pojedziemy?
- tak! tak! będzie super! (wtedy jeszcze potrafią wyrażać emocje, bez pomocy urządzeń elektronicznych)
- Wygląda profesjonalnie, pod egidą instytucji naukowej, prowadzącej badania nad delfinami.

O dziwo, wstęp jest bardzo przystępny cenowo, a dodatkowo

- będzie wesoło i ciekawie! Jedziemy.

Można wykupić opcję samego głaskania delfinów, z brzegu basenu, lub obcowania z nimi w ich środowisku. Delfin przypomina w dotyku mokry gumowiec. Wybieramy bilety na program z pełnym zanurzeniem. Nadal jest tanio. Zwłaszcza, że polski złoty bije akurat rekordy potęgi i chwały.

- Szanowni Państwo, dziękujemy za wybór pakietu 'pływanie z delfinami'. Zapraszamy do przebieralni. Aparaty fotograficzne prosimy pozostawić w schowkach.
- Dlaczego? Przecież chcemy zrobić pamiątkowe zdjęcia
- Szanowni Państwo, delfiny źle reagują na odgłos obcej migawki, mogą się spłoszyć lub zdenerwować, a tego przecież byśmy nie chcieli. Delfiny to inteligentne ssaki, rozpoznają naszego fotografa i przyzwyczajone są do jego sprzętu.



- Aha, brzmi logicznie
- Gumowane rybossaki popisują się w basenie aż miło.
- Pocałunek z delfinem? Nie ma problemu! [pstryk]
- Chętnie Państwu płetwę poda? [pstryk]
- Przytuli się do dziecka? - oj, jakie piękne ujęcie! [pstryk]
- A może delfinek podrzuci Pana do góry? [pstryk]
- A teraz przeciągnie przez cały basen? [pstryk]
- A teraz proszę złapać dwa delfinki i jedziemy z powrotem [pstryk]
- I jeszcze delfinek bije brawo [pstryk]
- I pomacha płetwą [pstryk]
- I zawoła wesoło grrrr grrrr fiuuu fiuuu [pstryk].
- Dziękujemy Państwu za udział... bla bla bla, Państwa wpłaty przeznaczone będą na badania nad tymi inteligentnymi stworzeniami... ble ble ble oraz na rozwój fundacji... ple ple ple, zapraszamy do szatni i do kasy po odbiór zdjęć. A chętnych zapraszamy po odbiór filmu-niespodzianki
- Ojej, jak fajnie, nawet film nam nakręcili! Ale będzie pamiątka!
- W kasie, chwilę później
- O kurczę, widzisz to co ja?
- Mamy tyle pieniędzy? Przecież to szaleństwo!
- A jeszcze ten film?
- Ale obiecaliśmy dzieciakom... Można płacić kartą.
- Nieźle się te gumowce ustawiły w życiu! Całkiem inteligentne. Zaiste!

#Rejs

Szukamy inteligentnych, gumowanych rybossaków, w ich środowisku naturalnym, w zatoce Inverness. Nie ma ich... Zatoka wszerek? Nie ma. Zatoka wzdłuż? Nie ma. Zawrotka i druga runda? Nie ma śladu!

- Zobaczcie: tam płynie motorówka Delfin-Tour z całą wycieczką na pokładzie!
- He he, zapłacili grubą kasę, by pooglądać fale...
- O! Delfin! tam! tam!
- O! Płetwa!
- O! Teraz są dwa! Widzicie?! Płyną równolegle!
- O! Zaraz, zaraz.... ale dlaczego delfiny pojawiły się akurat teraz... gdy ta wycieczka...?
- No właśnie, przecież moglibyśmy tu pływać do usranej śmierci i nic...
- Sugerujesz, że gumaki mają układ z przewodnikiem wycieczki?
- Tak jak wtedy z fotografem?



- Logiczne! Inteligentne stworzenia! Zaiste! Potrafią się w życiu ustawić!
- Gajos, oglądałeś kiedykolwiek tamten film z delfinami, z oceanarium?
- Zwariowałaś?!

#KanałKaledoński

To taki kanał, który miał szansę kandydować do nagrody w konkursie na najbardziej bezsensowną inwestycję ludzkości. Coś takiego całkiem swojskiego! Coś takiego, jakby pan (z zawodu) dyrektor rzucił wstążkę w poprzek mapy Szkocji, mówiąc:

- O tutaj będzie kanał, który połączy oba morza i będą po nim pływać statki
- Ale panie Dyrektorze, tu są jeziora i góry...
- To się je przesunie, no ewentualnie połączy, przekopie, no w ogóle...
- Ale panie Dyrektorze, one leżą na różnych poziomach...
- To się wyrówna!

Być może tak to wyglądało, może inaczej, w każdym razie kanał powstał na początku 19 wieku. Przecinał Szkocję w szers i miał skrócić trasę dla statków morskich, które do tej pory, by dostać się z zachodniego wybrzeża na wschód, musiały nadkładać drogi dookoła Wysp Brytyjskich. Czyli patrząc na mapę - trzeba było okrążyć tego pudła (czy jaka to tam rasa?). Kanał zbudowano, jeziora połączono, wymyślne konstrukcje inżynierskie i kilkupiętrowe śluzy zniwelowały różnice poziomów. Odrąbiono prawdziwy sukces. Kanał na miarę naszych możliwości! Prawie... bo... za wąski i za płytki dla statków!

Prawda, że swojskie? Czyli zupełnie, jak ten wyremontowany tunel średnicowy pod Dworcem Centralnym w Warszawie, w którym nie mieściły się, kupione za grube miliony, piętrowe pociągi. Albo tunel dla TIR-ów koło Dworca Zachodniego, który miał rozładować korki, lecz też okazał się za niski - ciężarówki czopowały go skutecznie. No, taki szkocki bareizm, a więc dla nas właściwy trop i idealny azymut: wręcz wymarzona sytuacja. A może ów pan 19-wieczny dyrektor był wizjonerem i przewidział, że za 200 lat ludzie będą tłoczyć się masowo, by przepłynąć jego kanał w celach czysto melanżowych?

Na czym polega pływanie kanałem? Dla łaknących adrenaliny - będzie stanowiło atrakcję, ale tylko przez pierwszą godzinę, gdy:

- potężne szczęki śluz otwierają i zamykają stalowe podwoje,
- bulgocząca woda przenosi łódkę na inny poziom,



- trzeba odpowiednio naciągać i popuszczać cumy, by utrzymać łajbę we właściwym miejscu,
- należy tak wymierzyć etapy podróży, by zdążyć na godziny otwarcia kolejnego zwodzonego mostu lub innej zapory.

Natomiast dla poszukiwaczy ciszy i sielskich klimatów - kanał będzie jedną z form spełnienia. My jesteśmy gdzieś po środku - ja bardziej spaczony na prawo, Gajos na lewo. Ale doskonale się uzupełniamy. Bo gdy trzeba, obaj potrafimy stanąć na wysokości zadania i dopasować się do oczekiwań tego drugiego. On: do mojego szaleństwa, ja: do jego marazmu. Tymczasem nasi młodzi - są gdzieś zawieszani w cyberprzestrzeni.

- Za naszych czasów, panie!.... Ech!

W każdym razie zamykają się za nami wrota pierwszej śluzy, potem kolejnej i następnej. Z poziomu morza wznosimy się pod górę.

Śluzowanie to prawdziwy rytuał. Dla początkującego wodnego laika: magia. Na końcu rejsu: rutyna i dodatkowa robota. Pod śluzę należy przy płynąć w odpowiednim czasie. Nie za wcześnie i nie za późno. Szkokcy śluzowi szanują siebie i swą pracę, co znaczy, że zarówno zbyt rano jak i późnym popołudniem nie ma szans na pokonanie przeszkody, ponieważ nikogo nie będzie do obsługi wiekowych urządzeń. Śluzowi mają sielskie życie:

- Rano? Trzeba przecież odespać pubowy wieczór.
- Po fajfokloku? Koniec! Zapomnij o pracy, do pubu rodacy!
- A w ciągu dnia? Też należy odpocząć! Przerwa obiadowa trwa dwie godzinki. Śluza nieczynna.
- Czemu nie?!

Przecież właśnie o to chodzi. Tu nikomu się nie śpieszy i na tym właśnie polega sytuacja w której się znaleźliśmy. Cały tydzień! Ha ha ha! Tydzień nudy i nic nierobienia. Czyżby?

Jak już wplywamy do śluzy - trzeba się szybko orientować. Każdy szczegół ma znaczenie. Czy zacumować z prawej, czy z lewej? W pierwszym rzędzie, czy może przepuścić przodem jelenia? Jakie cumy przygotować? Krótkie czy długie? Jest śluzowy do pomocy? Rzuć mu linę! ale nie w niego! Obok! Ale przeciągnij pod relingiem, bo zerwiesz! Nie ma śluzowego? Wyskakuj na nabrzeże! Uważaj! Jacht waży kilka ton... nie wsadź przypadkiem nogi między burtę i nabrzeże.

- Ej zaknaguj cumę!
- Coooo?
- Szybciej! znosi nas!



- Kurwa wyciągaj linę, bo się w śrubę wkręci i kaplica!
- Ściągaj, ściągaj!
- Odbojniki!

#ZnaczyKapitan

To kosmita. Mózgowiec. A może magik? Wszystko widzi i reaguje. Jak wytrawny szachista przewiduje kilka kroków naprzód. A jest co analizować i obliczać: głębokość, prądy wodne, siłę wiatru, kurs tego z przeciwnika i setki innych elementów, których istnienia żaden szczur lądowy nawet sobie nie wyobraża. Pełna profeska i spoko podęście do życia. Można się zintegrować. Tak po polsku. Ale dopiero w porcie. Kapitan jest po to by przestrzegać zasad. To zadziwiające, ile różnorodnych gadżetów udało mu się zmieścić na tak małym jachcie. Jest więc bateria słoneczna, jest latający dron, dwa składane rowery, ponton, strój nurkowy, radio samochodowe, dwa komputery i wiele więcej - niekoniecznie związanych z pływaniem.



#Nuda

Jak to na Rejsie, czyli jak w polskim filmie. Nic się nie dzieje. Magia. Nic. Zero. Null.

Pozory mylą. Co jakiś czas mijamy zwłoki jachtów. Przewrócone i porzucone w wodzie wraki, niczym opaste cielce wielorybów wyrzuconych na mieliznę.

Wymownie ostrzegają:

- nie ulegajcie pozorom i zachowajcie czujność.

Dobrze być pokładowym kuchcikiem. Można wcześniej ziemniaki obrać, mięso zamarynować, przygotować sałatkę lub zaskoczyć załogę jakąś przekąską.

Prawdziwy ruch zaczyna się w porcie. Tam można spokojnie zjeść obiadokolację, jeśli jest sklep - uzupełnić zapasy. Jeśli jest łazienka - skorzystać. Jeśli jest bar - zrobić sobie selfi. Jeśli nie pada deszcz - wysuszyć ubranie.

Jeśli natomiast nie ma nic, tylko jakiś opuszczony barak - warto tam zajrzeć. W środku porzucane deski, rozbite krzesła, zakurzona i przewrócona wersalka. Ciemno i brudno. I jeszcze jakieś dechy albo płyty pilśniowe, ustawione pod ścianą.

- Zielone płyty.
- Zielone płyty???
- Rany, przecież to stół do ping-ponga!
- Załoga! Koniec nudy!



Stół udaje się ustawić. W bałaganie znajdujemy siatkę, przedpotopowe rakiety, kilkanaście zgniecionych piłek, ale i kilka dobrych. Wersalka posłuży za widownię. Szybkie porządki w świetle latarki... Taki szczegół: nie ma światła. Nie można się zrażać szczegółami. Barak ma lampę, nie ma prądu. Ale barak ma szansę na drugie życie. Bo trafił na zapalonych ping-pongistów z Polski, którzy wiedzą jak dopomóc szczęściu. A jak mówi stare piłkarskie przysłowie: okazje trzeba wykorzystywać, bo niewykorzystane okazje się mszczą. Już się zastanawiamy, jak pociągnąć energię z jachtu, gdy po ciemku, na dworze, napotykamy na drugą komórkę. A przy niej - skrzynkę elektryczną z bezpiecznikami. Nikt tu od dawna nie zaglądał, bo wokół zalegają przeróżne graty, a wśród nich przedłużacz. Próba-frajer. Podłączamy, przeciągamy, sięgnie do baraku? A tam jeszcze kilka czarodziejskich sztuczek i stała się jasność! Gramy w systemie rotacyjnym. Wygrany zostaje przy stole. Pół nocy szybko mija.

- Sytuacja? Magiczna!
- Przeznaczenie? Absolutne!
- Nuda? Nie dla nas!



#LochNess

Czekaliśmy na te chwile. Zbliża się kluczowy moment filmu. Kulminacja. Wiecie jak to jest, gdy napięcie sięga zenitu, gdy atmosfera gęstnieje, a emocje wgniatają w fotel?! Czy zaraz nie okaże się, że to wszystko było pustą wydmuszką? Czy oczekiwania nie pękają jak mydlana bańka? Czy przeznaczenie, któremu zaufaliśmy, stanie na wysokości zadania i nie zafunduje nam filmowej klapy? Odwrotność czarów to ROZCZAROWANIE. A odwrotność MAGII? RozMAGnesowanie? Chyba tak, bo namagnesowani jesteśmy maksymalnie. Coś nas tu ściągnęło! Wyobrażacie sobie namagnesowane obiekty krążące wokół wielkiego elektromagnesu, który nagle przestaje działać? Wyobrażacie sobie planety naszego Układu, gdyby nagle ktoś wyłączył Słońce? Nikt nie chciałby czegoś takiego doświadczyć.

- A teraz uważajcie uważnie: to się dzieje naprawdę. Bez żadnego podbarwiania.
- Tak było.
- Tak jest.
- Jak będzie?

Mijamy skrzyżowanie z rzeką Ness. Nurt rozdziela się na 2 części, jakby brutalnie rozdarty rękami Cyklopa. Wyprzedzamy kajakarzy, wspierających się wiosłami wiatrem, łapanym w miniaturowe żagielki.



Mijamy eleganckie, nadbrzeżne rezydencje, gdy kanał rozszerza się obiecująco i przechodzi w niewielkie jezioro - przedśionek Loch Ness. Jeszcze tylko ostatnie przewężenie, wąska gardziel, która wypływa nas silnym nurtem na rozległą przestrzeń.

Niepostrzeżenie wpływamy na szeroki przestwór oceanu. W tym wypadku nie tyle szeroki, co długi. Po obu stronach ścielą się zielone wzgórza, otulone warstwą gęstych chmur. Szarość i zieleń - to nasze barwy na dziś? Szara woda i szare niebo ciągną się w długiej niecce zamkniętej linią horyzontu. Na dodatek wzmaga się przeciwny wiatr, stawiając na baczność grzbiety fal. Kadłub jachtu próbuje rozplatać je, tworząc po bokach spienione bałwany. Pokład wznosi się i opada. Woda mści się na nim za zburzenie harmonii, chłostając to z prawa, to z lewa, ostrymi biczami. Do tego dołącza się niebo, wylewając z góry potoki deszczu. Trzeba założyć sztormiaki, gdyż woda siecze z plaskacza. Ciekawe powitanie.



- A może to jakaś kara?
- Albo...
- Nie, to niemożliwe! Przecież wszystko do tej pory się udawało, szło jak po sznurku, a ten kulminacyjny moment zniweczy pogoda?
- Albo... - coś kielkuje w podświadomości. Tli się powoli małym promykiem nadziei.
- Może to nie kara, a przygotowanie do nagrody? Rodzaj wodnego oczyszczenia? Mitycznego katharsis?

Przecież wejście w inny wymiar wymaga rytualnego obmycia. Nie można przecież, tak po prostu, przejść z codzienności do nieśmiertelności... Jeśli to prawda, to trzeba z nadzieją oczekiwać przyspieszenia. Ostatecznego quickening.

- O czym mówiłem? O promyku nadziei?

Oto jest! Nagle przebija się przez chmury i oświetla czubek masztu. Widok zaiste niecodzienny. Łódź nieprzerwanie prze naprzód, a ten niewyraźny, nieśmiały promyk słońca wyznacza azymut.

I jeszcze coś innego przykuwa naszą uwagę. Pokładowy głębokościomierz. W kanale wskazywał to 5, to 10 metrów wody pod kilem. Teraz chyba zwariował... 70, 80, 90, 99 metrów... DEEP...

- Kapitanie? co to?
- Zaraz będziemy mieli pod sobą 200 metrów!

Nie ma jednak czasu by przetrwać tę wiedzę. Bo aura otwiera przedziwny teatr i zaczyna dalszą część przedstawienia. I znów powstaje pytanie: jesteśmy tu widzami, czy aktorami?



Szczelna do tej pory kurtyna chmur rozszerza się coraz bardziej i wpuszcza pod swe sklepienie kolejne promienie nadziei. Jezioro rozwija przed nami perspektywę kolejnych mil bezkresnej dali. Dziób jachtu wyznacza jej dokładny środek. Tniemy płaszczyznę na równe części. Do prawego brzegu kilometr, do lewego tyle samo. Ale nie tak samo, bo obie połówki przechodzą odmienną metamorfozę. Ta lewa zmienia się z szarości w groźny granat, zacina deszczem i silnym wiatrem. Ta prawa przegania chmury i ukazuje czysty błękit. Słońce! Nagle wyłania się w swej pełnej krasie, całą złocistą kulą, tak dawno nie widzianą nad szkockim niebem! Po lewej ciemno, po prawej jasno, a my dokładnie po środku! Magicznie! Lecz to dopiero preludium atrakcji. Antrakt do właściwego przedstawienia. Jesteśmy gotowi do udziału. Wszak zostaliśmy rytualnie oczyszczeni. Jacht pchany do przodu całą mocą silnika zbliża się do celu. Jeszcze tylko chwila i je (go) ujrzymy...



- Teraz! włączaj! - Gajos przekrzykuje szum wiatru.
- Na cały regulator?
- Tak jest!

Pokładowy odtwarzacz CD połyka srebrną płytę The Classic Queen, z granatową okładką, wydanie kanadyjskie. Przyleciała z daleka i czekała wiele lat na taką okazję. Rozpoczynamy więc od It's a Kind of Magic, a magia uwalnia swą moc i rzeczy zaczynają dziać się samoistnie. Zamek pojawia się nagle - po prawej, słonecznej stronie. Jest położony na skarpie skalistego wybrzeża i bezpośrednio dotyka wód jeziora. Nasz wzrok z namaszczeniem głaszcze jego mury i chłonie szczegóły. Czy tak to sobie wyobrażaliśmy? Nie wiem, nie ma czasu myśleć, bo wiatr i wyjątkowo wartki nurt spychają łódź dalej, w głąb jeziora.

- Nawrót! Drugie podejście!
- Widzicie przystań?
- Nie ma!
- Jeszcze jedno kółko!

Podczas, gdy nasz jacht walczy z falami, na zamku królują turyści. Machają wesoło z wieży i z pewnością - tak jak my - cieszą się z niespodziewanej, słonecznej aury. Przynajmniej na połowie jeziora. Ludzi na zamku jest sporo. Na pewno przyjeżdżają tu ich tysiące. Ale niewielu może delektować się widokiem z naszej perspektywy - od strony wody.

- No właśnie, a jak my dostaniemy się na ląd?
- Nurt jest zbyt silny, nie ma szansy na rzucenie kotwicy!
- Ale coś nam obiecaliście... - młodzi próbują zagrać nam na ambicji... miało być kino...



#Warszawa - wcześniej - przygotowania do wyjazdu.

- Pamiętajcie Nieśmiertelnego?
- Eeeee?
- Taki film, gdzie faceci próbują ścinać sobie głowy!
- Aaaaa, było coś takiego, ale to jakaś starość?
- Co wy tam wiecie... To kultowa historia! Lepsza niż te wasze pierścienie i Harypotery.
- Dobra, dobra...
- Jeszcze zobaczycie: zrobimy wam taki pokaz, że będziecie swoim dzieciom opowiadać! Dopytniemy jachtem do zamku nieśmiertelnego... jezioro... mgła... cumujemy... zapada noc... i teraz uważajcie... opuszczamy żagiel, uruchamiamy komputer, DVD, projektor... z głośników leci ścieżka dźwiękowa Queenów... A my siedzimy na pokładzie i na żaglu wyświetlamy film.
- Ale przecież żagiel rozwija się wzdłuż pokładu, to jak będziemy siedzieć?
- Nie mądrzyj się. Będzie z nami kapitan, ma tam różne żagle, coś się naciągnie i jakiś na pewno będzie się nadawał!
- Ale tato...
- Cisz! Będzie ekstra!, Jak wam urządzimy letnie kino pod gwiazdami, to nie ma tego tamtego we wsi! No, w sensie w Szkocji! To będzie najlepszy moment całego wyjazdu!

#Wyjazd. Najlepszy moment.

- Tu nie ma nawet mariny! Jak wam mamy zrobić kino? Nie mamy prądu, nie ma jak zakotwiczyć... Jutro obejrzymy film!
 - Ale....
 - Cisz! Zobaczcie jak jest ekstra: zamek, jezioro, słońce....!
 - A może wpłyniemy do tej zatoki? - Kapitan próbuje ratować sytuację.
- No to wpływamy. Front zamku ciągnie się wzdłuż jeziora, ale w momencie, gdy obracamy jacht, okazuje się, że za zamkową wieżą, niejako za rogiem, otwiera się całkiem spora zatoka.
- O kurcze! widzicie?
- Tak. Widzimy. Kapitan tym jednym okrzykiem próbuje przekazać nam różne wiadomości:



Wiadomości dobre:

1. w zatoce nie ma szalejących fal i dzikiego nurtu
2. z tyłu zamku, od strony zatoki, do wody schodzi drewniany pomost
3. na środku zatoki pływa duża, żółta boja

Wiadomości złe:

ad 1. spokój jest pozorny - widok rozbitego i wyrzuconego na brzeg, dużego jachtu, studzi optymizm Kapitana. Na nas też to robi wrażenie.

ad 2. przybrzeżne szuwary i połamane gałęzie ostrzegają: nie próbuj podpływać do pomostu jachtem. Ten co tu leży - pewnie próbował.

ad 3. nie wiadomo co to za boja, nie ma jej na mapie, może przed czymś ostrzega, a może to boja prywatna?

Wnioski:

ad ad 1. Tamci, co się rozbili, pewnie szarżowali, albo byli pijani... My - to co innego!

ad ad 2. Kapitan ma sposób, aby dotrzeć na brzeg! A jaki? Zobaczycie...

ad ad 3. Najwyżej nas stąd przegonią. Dawaj bosak! złapiemy się boi i przeczekamy..

I słowo stało się ciałem.

Czary-mary: Kapitan wyciąga mały, gumowy ponton. Hokus-pokus i znajduje do niego spalinowy silnik ze śrubą i sterem. Mamy zapas paliwa, wiosła na wszelki wypadek i kamizelki ratunkowe na bardziej wszelki wypadek. Ekipa gotowa do ataku na zamek? Pontonik mieści z trudem cztery osoby. Kapitan zostaje na jachcie. Wiadomo!... kto schodzi ostatni?

- jak wy wrócić, to ja sobie popłynę - oznajmia bohatersko.

- trudno, co zrobić... - jesteśmy gotowi na takie poświęcenie!

Ale to nie egoizm przez nas przemawia. Kapitan to równy chłop, ale filmu o Nieśmiertelnym nie widział, lektury nie odrobił. Chodził do innej szkoły. Rytmów też słucha innych. Nie będzie miał nam więc za złe, jeśli to najpierw my skoczmy sobie stąd do wieczności?!



- Ja prowadzę! - Pierwszy wskakuję do pontonu i jest to całkowicie samolubna decyzja. Z musu zostałem wrobiony w Glasgow, w prowadzenie czerwonej strzały, więc teraz coś mi się należy. Tym razem Gajos nie oponuje. Ale po jego niepewnej minie widzę, że chciałby coś powiedzieć, np. coś takiego:
- Tylko nie zrób takiego Meksyku jak wtedy na skuterach w Meksyku... ale na szczęście przygryza się w język.
- Brrrrrrymmmmm brym brym - wesoło terkocze silniczek.

Wesoły terkot pozwala kręcić pontonem wesołe bączki, z zamkową wieżą w tle. Wskaźnik DEEP, pulsujący gdzieś z tyłu głowy, automatycznie dozuje przekręcanie manetki gazu.

- Czy to tutaj Connor MacLoed nurkował do samego dna?
- OK, dobijamy do pomostu, chłopaki łapcie cumę!
- Wysiadka!
- Oooooożesz!!!
- Oooooorety!!!
- Oooooorany!!!

Siedzę jeszcze w pontonie, gdy cała trójka stoi już na pomoście, z wybałuszonymi oczami, wydając dzikie odgłosy. Pomost pod napięciem? Porażeni prądem?

- Co się dzieje do cholery?!
- Taaaaam!!! - we troje, wręcz synchronicznie, wskazują za moje plecy.

Prerażony, błyskawicznie obracam się przez ramię, ponieważ skojarzenie nad Loch Ness może być tylko jedno: Potwór Nessi!?

- Ooooooo... [tu pada wspaniałe, najbardziej uniwersalne, polskie słowo, które potrafi wyrazić wszystko, zawsze i wszędzie] - z niedowierzania szeroko otwieram oczy.
- To dla nas! To naprawdę dla nas!
- Tak! MacLoed nas wita. Godnie i magicznie!

Z miejsca, gdzie zamkowa wieża dotyka tafli jeziora, odpala wspaniała tęcza. Ktoś włączył jakieś kosmiczne, laserowe działko ukryte w zamkowych kazamatach?

Rozszczepiona wiązka światła tryska na granatowe niebo po tamtej, ciemnej stronie jeziora, by idealnym półokręgiem opaść dalej w jego wody.

- Przecież przed chwilą jej nie było? Przecież płynęliśmy pontonem, robiliśmy zdjęcia... Tęczy nie było!
- Tak jest! Pojawiła się tu i teraz, dokładnie w tej sekundzie, gdy przybiliśmy do pomostu.
- Nie ma zbiegów okoliczności!



Tak, to prawda. Jeśli na swej drodze spotykasz kilka zbiegów okoliczności, które same w sobie teoretycznie mogłyby się wydarzyć i jeśli - z perspektywy czasu - te pozornie przypadkowe zdarzenia idealnie zazębiają się ze sobą, wskazują w brakujące okienka układanki, wydając przy tym dyskretny, aczkolwiek przyjemny "klik" - TO NIE JEST TO PRZYPADEK. To jest wyższy plan i tej teorii się trzymajmy. Pasuje do magii?

- KLIK!
- KLIK!
- KLIK!

Otuleni feerią barw, pijani z wrażenia, biegniemy na zamkowe wzgórze. Stop. Tabliczka. Zwiedzanie do godziny 17. Szczęśliwi czasu nie liczą. Ale na pewno jest później. Konsternacja. Spojrzenie w prawo, spojrzenie w lewo. Nikogo nie ma.



Pusto. Wspaniała cisza. Żadnych turystów, którzy jeszcze niedawno machali do nas z murów.

- Jesteśmy SAMI!
- KLIK!

Tabliczka dotyczy zwiedzania wnętrza wieży, kilku starych mebli i jakiś szmatek z epoki. Zresztą tabliczka opisuje wszystko dokładnie. Jakieś historie, rody, daty... Bła bła bła. My mamy historię alternatywną. Znaną z innego wymiaru. Tu o niej nie piszą. Historie niech służą historykom, a magia: Romantynom Muzyki Rockowej.

Co prawda filmowa historia dąży do ostatecznego celu:

- Może być tylko jeden! [There can be only one]
- ale zgodnie oświadczamy, że chwile takie jak ta, przeżywane wspólnie, smakują o wiele lepiej, więc na razie nie będziemy nic robili w tym kierunku.

I rzeczywiście: doświadczamy zupełnie czegoś niezwykłego. Oczyszczeni zbawiennym, katartycznym deszczem, skąpani słońcem, prześwietleni na wylot promieniami podniebnego lasera otwieramy się na niedostępne dla innych śmiertelników przestrzenie. Coś chwyta za gardło, lecz nie dusi. Coś przebija mózg, lecz nie uśmierca. Powracają obrazy z przeszłości i przelatują z szybkością światła. Dzieciństwo sielskie-anielskie, młodość chmurna i durna, wiek męski...
Wiek klęski, czy zwycięski?

Pamiętacie ten pusty, a jakże głęboki, wzrok Connora z sali kinowej? Przenikający przez czas i przestrzeń? To jest właśnie TA chwila w filmie. W naszym scenariuszu. KLIK.

Całą powierzchnią ciała i umysłu chłonimy to miejsce. Pazernie czerpiemy energię bijącą z pradawnych ruin. Ma wystarczyć na długo. Na wszelkie złe chwile, które jeszcze nadejdą, gdyż są nieuniknione. Lecz teraz jesteśmy silniejsi, podbudowani i naładowani magiczną siłą.

Zaglądamy jeszcze we wszystkie kąty rozległej warowni. Szperamy w zakamarkach historii. Ale tylko pro forma. Główny cel został zrealizowany. Nagroda wręczona i odebrana. Możemy wracać (ale nie do Polski! o nie, nie, nie, to jeszcze nie koniec).

- A wam jak się podobało? - pytamy młodych
- No! Taka sytuacja! Fajo! - krótko i wymownie.



Daj nam... dzisiaj... to co wskazałeś -
Daj moc i chwałę
Aż me królestwo nastanie!
Daj mi to, co w księgach spisane -
Daj wiarę i chwałę
Aż me królestwo nastanie!
A mówili, że w naszych czasach, wszystko co dobre, wpadnie w niełaszkę.
Nawet święci odwrócą swe twarze, w tych naszych czasach.
Powiedzieli nam, że w naszych czasach różne słowa, w różny sposób mówione,
mają różne znaczenie.
Zależy, kto je wymawia, w tych naszych czasach:
Daj nam... dzisiaj... to co wskazałeś -
Daj moc i chwałę
Aż me królestwo nastanie!
Daj mi to, co w księgach spisane -
Daj wiarę i chwałę
Aż me królestwo nastanie!
I mówili, że w naszych czasach będziemy czerpać z ich dziedzictwa,
Będziemy mogli uczyć się tego, co oni widzieli, w tych naszych czasach.
Powiedzieli nam, że w naszych czasach poznamy to, co najważniejsze.
I podążymy za tym, więcej nie przecząc. W tych naszych czasach.
Daj nam... dzisiaj... to co wskazałeś -
Daj moc i chwałę
Aż me królestwo nastanie!
Daj mi to, co w księgach spisane -
Daj wiarę i chwałę
Aż me królestwo nastanie!
Niewierni w wierze, dostrzeżmy to, co przecież widzimy!
Daj nam... dzisiaj... to co wskazałeś -
Daj moc i chwałę
Aż me królestwo nastanie!
Daj mi to, co w księgach spisane -
Daj wiarę i chwałę
Aż me królestwo nastanie!

*(na podstawie: Hymn, aut. Warren Cann, Chris Cross, Billy Currie, Midge Ure,
Ultravox)*



#NajlepszyMoment - chwilę po.

- Kapitanie, teraz ty!

Zmieniamy się miejscem w pontonie i przygotowujemy do kontemplacyjnego letargu na pokładzie jachtu, w blasku zachodzącego słońca.

- A co z letnim kinem? - pada kłopotliwe pytanie.

- Chujnoś - jak mawiają brytyjczycy

- A widzicie tu gdzieś gniazdko elektryczne? Sprawdźmy lepiej coś namacalnego. Jak tam nasza lodówka? Cytując kolejnego klasyka: bez alkoholu można się bawić, ale po co?

Gajos wyciąga kubańskie cygaretki. Też się przygotował.

- No to włącz coś, pasującego do chwili.

- Oczywiście!

**Teraz jestem duży i wiem,
że w życiu piękne są tylko chwile,
dlatego czasem warto żyć,
dlatego czasem warto żyć...**

Kliknięcie w telefon, kliknięcie w głośniczek i zatoka wypełnia się dźwiękami specjalnej playlisty.

#Playlist

Jeśli cię to nudzi, przejdź po prostu do następnego punktu. Ale jeśli cię to nudzi - dlaczego doszedłeś aż do tej strony? Włącz więc dowolne źródło dźwięku i kliknij [follow us]

- OMD - Maid of Orlean
- Perfect - Nie płacz Ewka
- Roxy Music - Slave to Love
- The Stranglers - Midnight Summer Dream
- Scorpions - Still Loving You
- Alphaville - Forever young
- E.L.O. - Time
- Buck Fizz - The Land of Make Believe
- The Cars - Drive
- Scorpions - When The Smoke is Going Down.

idealna harmonia: miejsca, czasu i akcji. Jak w antycznym, greckim teatrze na wodach szkockiego jeziora. Klasyka!



#MagiaPart2

- Wraca Kapitan!
- To co robimy? Oprócz tego, że nic?
- A co z Nieśmiertelnym?
- Ile razy trzeba powtarzać? A co z prądem?

I w tym momencie historia ludzkości oficjalnie odnotowuje pierwsze, zbiorowe DEJA VU:

- Oooooożesz!!!
- Oooooorety!!!
- Oooooorany!!!
- Oooooo...

Druga tęcza! To niebывałe, ale właśnie odpala ponownie swe laserowe, kolorowe półkole. W ostatnim momencie przed zachodem słońca. Przypadek na zakończenie niezwykłego dnia?

- Czy jeszcze wierzycie w zbiegi okoliczności?
- Kolejny znak?
- Ale o co chodzi?
- Klik, klik. Znak, że musimy!
- Kapitanie, musimy obejrzeć nasz film! Choć byśmy mieli napędzać projektor dynamem z roweru.
- Ale chwileczkę... przecież mamy tu kilka gadżetów: jakieś kabelki, bateryjki, transformatoriki, przejściówki... Klik, klik... może coś się dopasuje? Komputer nawigacyjny działa... klik.. ma szufladkę DVD!
- A ten projektorek to na 9 Volt chodzi? Patrzcie - chodzi! Dawaj, kabel pod sufitem!
- Kabel HDMI jest pęknięty! Nie łączy!
- Spokojna wasza rozczochrana, mamy zapasowy! Nigdy nie ruszaj się za granicę bez zapasowego kabla HDMI!

Cóż za błyskawiczna, w pełni zaimprovizowana i najważniejsza: skuteczna akcja. Już Gajos wyciąga prześcieradło, już wieszamy je na bosaku, doklejając plastrami do burty jachtu. Zawija się na dole? Obciążyć kijem od szczotki! Gdzie poduszki? Ma być wygodnie! A szklanki?

- No to zaczynamy!
- My zawsze dotrzymujemy słowa!
- 3, 2, 1... za Nowy Jork... za Szkocję... za Zamek...
- Akcja! Walka!
- Ciach, ciach!

- Klik, klik!



#Rano

- Chłopaki!?
- Czego?
- Chłopaki, ale to nie jest ten zamek!
- [*****]

Zapada niezręczne milczenie.

- Możesz być ciszej? Boli mnie głowa.
- Ale tu bałagan....
- Kto wygrał?
- Czy ktoś mógłby mi odciąć głowę?

#Rejs

Są takie chwile na jachcie, gdy nie chce się gadać. Są takie chwile, gdy nie chce się gotować. Tego dnia nie ma. Nie było. Nie będzie. Przecież jakaś bzdura nie zepsuje całokształtu.



#NoweWyzwania

Kapitan ma pomysł:

- Jutro cumujemy koło Fort William, robimy przerwę i wejdziemy sobie na Ben Nevis! To najwyższy szczyt na wyspach, ale podobno lajtowy, taka wyższa Gubałówka, spacerek...

Płyniemy kanałem w kierunku słynnych schodów Neptuna. Kolejnego brytyjskiego naj: najdłuższej i najwyższej śluzy, a właściwie kompleksu ośmiu śluzowych pięter. Łącznie ponad 450 metrów długości i ponad 20 m wysokości. Będziemy śluzować się w dół i wracamy na poziom morza. Z pokładu łodzi widzimy, majaczący w oddali, jakiś górski masyw.

- Zobaczcie, śnieg na szczycie!
- Może to Ten Ben Nevis?
- Eeeee, chyba nie.





#FortWilliam

- Pobudka! szósta rano! Za godzinę mamy pociąg! Ruchy, ruchy załoga!
- Weźcie coś przeciwdeszczowego bo na razie pada.
- Dziwne, prawda?
- Spokojnie! Według prognozy o 10 ma przestać
- I co?



- W zamian za to zacznie wiać. Zapowiadają ponad 40 knotów (cokolwiek to znaczy?)

- To potem pokaże się słońce? Jak wczoraj i przedwczoraj...

Z przystani jedziemy pociągiem do centrum Fort William. Po drodze szybkie zakupy w Tesco: batoniki energetyczne, jakaś woda, mieszanka studencka.

- To może mały, symboliczny browarek, aaaaaaby tak triumfalnie na szczycie?

- Nie, nie! Zasady to zasady! Dyscyplina taktyczna obowiązuje do końca.

Ruszamy pieszo przez miasto. Pada i nie zamierza przestać. Ortaliony na razie wytrzymują. Moje buty też - absolutnie wodoodporne (jak przysięgał sprzedawca). Tylko chłopaki mają nietęgę miny

- Co oni się tak wloką? - pogania Kapitan - w takim tempie do wieczora nie dojdziemy!

- Jest jeszcze rano, daj im się obudzić, zaraz ich zmotywujemy - próbuję tłumaczyć, ale nawet mina Gajosa wskazuje brak wiary. Odległość między naszą, dorosłą trójką, a tamtą młodą dwójką, systematycznie rośnie, mimo, że na razie idziemy przez miasto równą ulicą. Młodzi wyglądają dosyć żałośnie - jak człapiące żółwie.

W końcu dochodzimy do końca asfaltu.

- Witamy na szlaku na szczyt Ben Nevis - Informuje tabliczka - w normalnym tempie 4 godziny pod górę i 3 godziny na dół.

- Jak podkręcimy tempo, to może dwie godzinki z tego urwiemy.

Mnie pasuje. Kapitan? wręcz podekscytowany. Gajos? Mina coraz bardziej sceptyczna. Chłopaki? Lepiej nie mówić. Czekamy, by zrównali się z nami.

- Męska decyzja: kto idzie, kto zostaje?

Cisza

- Nie dojdą - prorokuje Kapitan

- To ostatnia szansa, by zawrócić - można poczekać w mieście, w kawiarni, na stacji. Mamy telefony - będziemy się komunikować. Czyli...? Chłopaki nie płaczą?

- Noooo, iiiiiidzieeeeemyyyy - tempo odpowiedzi adekwatne do szybkości marszu.

- Zsynchronizujemy zegarki. 9:30 rano. Start!

Typowa polna ścieżka wiję się lekko pod górę przez pastwiska owiec. Barany są również obecne ☺

- Kapitanie - mówię cicho - czy Bez Nevis to ta góra przed nami? - wskazuję palcem szczyt widoczny tuż przed nami

- Raczej nie



- Czyli Ben Nevis jest tam z tyłu? - powoli zaczynam coś przeczuwać, przypominając sobie wczorajszy widok z kanału.
- Raczej tak
- Ciekawe czy chłopaki już wiedzą?
- [...]

#Fakap

Kątem oka widzę, jak mój syn coraz bardziej odstaje od grupy. Tamci wyrywają do przodu, ja jestem po środku - jako łącznik wzrokowy, z kupą nieszczęścia, która wlecze się z tyłu. A z tyłu, na błocie i mokrych kamieniach - młody uprawia jazdę figurową w kaloszach.

O, już się nie ślizga - leży. Wstaje. Leży. Wstaje. Leży. Nie wstaje. Cofam się.

- Co się dzieje? - pytanie jest zbędne. Granatowy ortalion zmienił barwę na błotno-brązową
- Doskonałe maskowanie do gier terenowych! - próbuję dolać trochę wesołości. Efekt: jak oliwa do ognia.

Na szczęście, wzdłuż ścieżki, spływa wartki strumień. Zrywam grube liście paproci, zwijam je w gąbkę i próbuję posprzątać bałagan.

- ideału nie ma, ale zanim dojdiesz do stacji, deszcz cię opłucze. Nie ma co się napinać.

Oddaję młodemu swoje spożywcze zapasy, by przetrwał do powrotu reszty załogi.

- Wracaj do miasta i czekaj na nas. Nie masz odpowiedniego stroju, pogoda do dupy, nic się nie stało. Ja spróbuję dogonić resztę.
- Yhm.
- Zmieniaj kalosze na adidasy i ruszaj na dół.

A ja zasuвам w przeciwnym kierunku. Dawno nie byłem na górskich szlakach, chyba w tamtym poprzednim życiu? Wedle prognozy, deszcz przestanie padać za półtorej godziny. Trzeba znacznie przyspieszyć, aby dogonić załogę. Ścieżka robi się coraz ciekawsza, sporo skałek, strumyków i innych przeszkód. Nagle z szybkością światła mija mnie jakaś postać. Jeśli ja się spieszę, to postać naprawdę pędzi. Nie byłbym w stanie go dogonić, zwłaszcza, że obciążony jestem wodoodpornym, żeglarskim plecakiem. Niosę lustrzanekę, jakieś zapasowe ciuchy i kalosze młodego. Ta postać to mój syn.

- A jednak się nie poddał - nie ukrywam dumy. Moja krew. Tylko po co tak zasuwa? Chce przegonić pozostałych?

A pozostali mają nade mną prawdopodobnie pół godziny przewagi.



Idę więc samotnie, czasami wyprzedzam jakieś grupki, rzadziej ktoś mnie wymija, gdyż narzucam dość ostre tempo. Pomimo złej aury jest wesoło i turystycznie. Ale padać nie przestaje. A nawet leje coraz bardziej. Chyba już mija druga godzina od czasu, gdy wyminął mnie młody. Zadzwońię do Gajosa...

- Jak tam powyżej? Ahaaa, leje?! Tu jakby też. Dogonił was mój młody?
- Dogonił i przegonił!
- Jak to?
- Przeleciał z szybkością światła i pobiegł dalej w stronę Kapitana.
- A gdzie jest Kapitan? - w podtekście: co się tam u was do cholery dzieje?
- Rozdzieliliśmy się. On idzie szybciej.

Jedynie Kapitan był w miarę dobrze wyposażony: zabrał ze sobą trapy.

- OK, spróbuję się do niego dodzwonić.
- The number you are trying to reach is currently unavailable - aha, pewnie chwilowo zgubił zasięg

No to może wyślę mu SMSa:

- Godz. 12:46: czy jest tam młody? Poszedł gdzieś w górę... - bez odzewu.

Mniej więcej w połowie szlaku mijam górskie jezioro. Trasa nie jest oznakowana, ewidentnie brakuje strzałek znanych z polskich tras. Ścieżka się rozwidła, intuicyjnie wybieram prawą odnogę, chociaż nie wiem czy właściwą. Widoczność jest tragiczna, pode mną chmury, nade mną chmury. Nie widać już nawet miasteczka. Nie widać też szczytu. Za to można oblepić się mgłą. Tymczasem robi się dość nieciekawie: coraz zimniej, ciemniej, mokrzej i... głodniej.

Na dole mieliśmy ok. 15 st. C. Teraz - temperatura spadła chyba o połowę. Leje już na całego (prognoza się nie sprawdziła) i zrywa się huraganowy wiatr (prognoza się sprawdziła). Wiatr siecze po twarzy i wbija w każdą szczelinę litry wody. Spocona, mokra koszulka ziębi podwójnie. Nieprzemakalne półbuty z goretexu sprawdzają się dobrze... ale w mieście na asfalcie. Tutaj co chwilę wpadają w błoto lub przechodzą przez strumyki, więc wilgoć znajduje drogę do wnętrza. W pewnym momencie trzeba pokonać wodospad. Zaiste romantyczny widok i fajna przygoda. W upalny dzień, jeśli można na szlaku ochłodzić stopy - ale nie dzisiaj. Nie ma możliwości przejścia przez wartki nurt suchą stopą. Wybieram najmniejsze zło i precyzyjnie wyliczam kroki. Może się uda przeskoczyć tylko na dwa zanurzenia?

- Chlup! - po raz pierwszy
- Chlup! - po raz drugi

Udaje się. Mogło być gorzej, gdybym wpadł do wody po kolana lub po pas. Ciekawe jak poradził sobie młody w adidasach?



Górski strumień to dobry moment na uzupełnienie płynów. Zapasy oddałem młodemu, więc chętnie wprost ze źródła smakuje pysznie. Nie można zwalniać tempa, a ścieżka pnie się coraz stromiej, wiję się zakosami, raz w lewo, raz w prawo. Wiatr, pomimo, że zabójczo zimny, przez połowę podejścia okazuje się pomocny. Gdy ścieżka zawija w lewo, wiatr dmie w plecy i popycha od tyłu, wystarczy tylko ustawić tułów jak żagiel i można przez moment odsapnąć. Gorzej jest, gdy szlak zakręca w prawo - wtedy trzeba walczyć podwójnie, tracąc siły zaoszczędzone przed chwilą. Prawdziwa huśtawka energetyczna, ale ze wskazaniem naprzód, pod górę. Wszystko do czasu, bo przyroda sprawia kolejną, cholernie niemiłą niespodziankę. Opiękaną w skutkach. Temperatura spada jeszcze o kilka stopni i rozpędzone wiatrem krople deszczu zamieniają się w locie w lodowe pociski, a te - atakują twarz i ręce zimnymi żądłami. Witamy w szkockiej strefie gradobicia! Zmarznięty organizm w jednej chwili odmawia współpracy, jakby odcięto mu nagle dopływ prądu. O ile wilgoć ubrania można by jeszcze wytrzymać, to nagłe ochłodzenie zamienia ubiór w mitologiczną szatę Dejaniry, taką, która powaliła nawet samego Heraklesa. Pomimo, że ruch wytwarza zbawienne ciepło, to niestety ogólny bilans energetyczny pozostaje ujemny. Cholernie ujemny. Stąd i ruch wolniejszy. Na domiar złego nadal nie wiem, czy idę w dobrą stronę. Ścieżka nie jest oznakowana, a ślad rozpoznaję intuicyjnie - po tym, że żwir podłoża w jednym miejscu jest drobniejszy niż w innych. Może to nie przypadek i taki był zamysł twórców szlaku? Pod wielkim głazem spotykam skostniałą z zimna parę turystów. Korzystają z naturalnej osłony by przeczekać nawałnicę. Może to już pierwszy objaw montypythonowskiego obłądu, bo pytam ich:

- Excuse me, ist this the way to the Glasgow Airport?

Wybuchają śmiechem. Potwierdzają, że dobrze idziemy i że według ich obliczeń do szczytu pozostała może niecała godzina. I wtedy zza kolejnej skały, jak dobre duchy, wyłania się Gajos z jego synem. Ale tylko we dwójkę, bez mojego. Ups.

- Gdzie młody? - szcękam zębami z zimna.
- Nie wiemy, minął nas wtedy i więcej go nie widzieliśmy.
- O kurwa.

Koniec przygody. Czas na misję ratowniczo-poszukiwawczą. Świetnie. Chłopaki oddają mi torbę mieszanki studenckiej. Nie ma się co rozczułać, ruszam dalej. Podobno do szczytu pozostało około 40 minut. Muszę dać radę, choćby na czworaka. Teraz przynajmniej mam konkretny cel. Zanim powiadomimy lokalne służby ratunkowe, trzeba spróbować samemu. Czarne chmury dookoła... czarne chmury kłębią się w głowie - te są znacznie gorsze.



- Gdzie on się podział? Czy pomylił ścieżkę? Czy siedzi gdzieś za skałą? Czy jemu również odcięło energię?

Staram się orzechami oszukać zmęczenie. Widocznie robię to zbyt łapczywie, lub mózg nie nadąża przetwarzać sygnału od zamrożonych mięśni twarzy, bo w głupi sposób przegryzam dolną wargę. Czuję, jak błyskawicznie puchnie i zamienia się w odstający wałek.

- I ty orzechu przeciwko mnie! Ale w salonach piękności celebryci płacą za spuchnięte wargi duże pieniądze! - próbuję odegnać głupie myśli.

Coraz wolniej idę naprzód. W zasadzie to już powłóczę nogami, a tam gdzie to tylko możliwe, podpieram się o wielkie głazy. W kurtce miałem żeglarskie rękawiczki, na niewiele się zdają, bo można z nich wycisnąć strumienie wody. Widoczność ogranicza się do kilku, w prześwitach - kilkunastu metrów. Nie ma jednak na co patrzeć - wyłącznie grafitowe, mokre kamienie i piargi. Białe obłoki, które otulały mnie poniżej - tutaj są czarne, ponure i groźne. Spotykam ludzi schodzących na dół. O ile na niższej wysokości turyści pozdrawiają się wesołym:

- haj, helo!, ha!arju!

to tutaj nie mają siły nawet podnieść dłoni w geście pozdrowienia. A większość z nich jest odpowiednio wyekwipowana. Nie to co ja: pieprzony niedzielny turysta. Nie mogę się jednak poddać. Muszę poznać prawdę. Pytam się krótko, lecz treściwie:

- Jak daleko?
- Już blisko, może 15 minut. Musisz przejść przez ten śnieg...
- Ja pierdołę, przez coooo?

Lecz gdy podnoszę głowę, przede mną rozpościera się biały, zmarznięty dywan. Resztkami sił wyciągam z kieszeni telefon. Coś mnie tknęło, by wsadzić go do plastikowej torebki, bo w kieszeni też chlupie woda. Odwijam zawiniątko i zgrabiałymi rękoma uruchamiam aplikację kamery.

- Godz. 14:05: - kurwa, byłem tu! Idę dalej! - nagrywam na pamiątkę lub jako materiał dowodowy.

Co jakiś czas mijam kamienne, stożkowe, kopce. Wyglądają upiornie - jak nagrobne pomniki strażaków. Gdyby nie lekka poświata bijąca z białego podłoża - nie było by chyba nic widać.

- O rany, Kapitan! - rozpoznaję skuloną postać wyłaniającą się z piekielnej otchłani.

Padamy sobie w ramiona.

- Spotkałeś mojego syna?
- Jak to? Przecież został na dole?



- [...] Aha. Wszystko jasne. Czy to jest ten szczyt?

- Nie, ale to bardzo blisko, pomogę ci.

Widzę, jak Kapitan kuli palce, więc ściągam plecak i odnajduję zapasowe rękawiczki. Przynajmniej w ten sposób mogę się odwdziżyć. Podpierając się nawzajem wchodzimy w paszczę zawieruchy. A więc to jest szczyt Ben Nevis! Jakież ruiny, wielkie głazy i noc w środku dnia. Jeszcze kilka osób tu doszło. Ale wśród sylwetek, bezskutecznie szukam tej znajomej.

Proszą nas o zdjęcia. Są dumni z osiągnięcia. Mają ciepłą, nieprzemakalną odzież do wspinaczki górskiej. Kapitan, klnąc pod nosem, mozolnie próbuje zdjąć, założoną przez chwilą z wielkim trudem, rękawiczkę.

- Pstryk!

- To pstryknij i nam! - Godzina 14:32 zapisuje się na karcie pamięci.

Te ostatnie kilkaset metrów, niezdarnie człapiąc po śniegu, pokonujemy w czasie około trzydziestu minut (obliczono na podstawie zapisów na karcie pamięci telefonu - *przyp. autora*). Z pewnością przy pięknej pogodzie byłby to przyjemny, górski spacer. Dzisiaj to masakryczna porażka. Gdybyśmy mieli siłę, moglibyśmy obliczyć, że od wejścia na szlak minęło pięć godzin. A przed nami jeszcze przecież powrót! I poszukiwanie młodego. Zejście ze stoku bywa nawet cięższe niż podejście, gdyż pracują zupełnie inne partie mięśni. Kręgosłup zostaje bardziej obciążony, a zgodnie z prawami fizyki, ciało, które nabierze szybkości, nie daje się łatwo zatrzymać. Zwłaszcza, gdy jest mokro i ślisko.

- A teraz pomóż mi zejść na dół - brzmi jak ostatnia wola.

Chwytny się pod ręce i prowadzimy, jak wesoły tandem po imprezie.

Bezsprzecznie zabawny widok dla osób postronnych. Gdyby byli tu jacyś postronni i mieli jakiś widok. I gdyby komukolwiek było tu do śmiechu.

Pokonujemy najtrudniejszy, zaśnieżony odcinek. Potem te grafitowe kamulce.

Kapitan ciągnie mnie w głąb chmury, piekielnej, głuchej, czerni.

- Hej coś mi się nie zgadza! Jesteś pewny, że dobrze prowadzisz? - Intuicyjnie próbuję rozpoznać drogę, a raczej bezdroże.

W nieznanym przestrzeni, poruszamy się po omacku i tracimy orientację. Trzeba jednak wyostrzyć zmysły. W sytuacji ekstremalnej trudno wymagać czegoś więcej od kolegi, gdy nie można polegać na sobie samym. A Kapitan też już zdaje się mieć wszystkiego dosyć.

- Zobacz na ten drobniejszy żwir, który chyba tworzy ścieżkę! - dzielę się swoim odkryciem. - Różnica jest mało widoczna, ale tylko dzięki niej tu trafiłem.



Przyznaje mi rację. Już nie zgubimy tego tropu. Teraz trzeba tylko pokonać słabość. Tylko. Ale jak? Jeśli masa krytyczna została dawno temu osiągnięta i przekroczona. Plecak cięży jak kamień, w butach przelewa się woda, a dodatkowo pojawia się całkiem nieoczekiwana i uciążliwa przeszkoda. Założone na dzisiejszą wyprawę spodnie dresowe nasiąkły wodą i ważą kilkakrotnie więcej, niż jest w stanie utrzymać gumka. Prozaiczna, głupia sytuacja, gdy zeszywniałą z zimna ręką trzeba podciągać spodnie. Na szczęście mam czarodziejski plecak z kilkoma magicznymi przedmiotami, które ratują sytuację.

- amerykańska, srebrna taśma klejąca duct tape. Internet pełen jest różnych, pomysłowych zastosowań tego genialnego wynalazku: od łączenia rur, po uszczelnianie skrzyń z amunicją, albo doklejenie prześcieradła do burty łodzi, by tworzyło ekran. Ale czy ktoś wymyślił, że taśma może posłużyć do przyklejenia gaci do tułowia? A ja niniejszym zgłaszam taki patent.

Wspólnie z Kapitanem próbujemy taśmą okręcić mnie w pasie i przy kostkach. Może wyglądam teraz jak lump, ale moja efektywność rośnie. Grzebiąc w plecaku natrafiam jeszcze na coś:

- termiczny podkoszulek!

Szybki striptease i wreszcie mam na sobie coś suchego i ciepłego. Cóż za rozkosz! Przynajmniej przez chwilę, bo przecież trzeba jeszcze założyć mokrą bluzę i mokrą kurtkę. Ale ta chwila jest dosłownie bezcenna, ponieważ wyzwala dodatkowe pokłady energii. Zupełnie jak w tej reklamie, gdzie do pluszowej zabawki zaaplikowano lepsze baterie i zabawka odżyła. Dostaję więc drugie życie. Mogę wstać, mogę iść, mogę biec! Metamorfoza. Jak Feniks z popiołów. Człowiek to dziwna istota, wystarczy, że dostanie trochę ciepła i od razu lepiej działa.

- Ale te wszystkie cudowne rzeczy utonęłyby w ulewie, gdyby nie żeglarski, gumowy worek, szczelnie skręcany i spinany plastikową klamrą. Całkiem logiczne: morski, plecak sprawdza się w górach. Podczas, gdy tak zwane plecaki turystyczne, zaopatrzone w wodoodporne suwaki i niewiadomojakie membrany - chłoną wodę jak gąbka.

I właśnie wtedy dzwoni telefon: Gajos. Konsternacja. Czyżby miał hiobowe wieści?

- znaleźliśmy gooo! Haloooooo! Mamyyy młodegoooooo! - próbuje przekrzyć wicheru.
- Gdzieeee? Nieważne, bierzcieeeee goooo naaaaaa dó!, naaaaa dó!

Jeszcze raz się udało. Nie wiem jak, nie wiem kiedy i dlaczego. Grunt, że się udało.

- Kapitanie zobacz! Przejaśnia się! Huragan przegania chmury! Jakie widoki... Pstrykaj zdjęcia... Ja sobie stanę na tym kamieniuuuuuuuuu.....



Nie wiadomo jak, nie wiadomo skąd, wiatr podrywa mnie w górę, podcina nogi i rzuca o skały jak snopkiem słomy, a przecież do najmniejszych nie należę. Więc leżę jak długi. Czapka gdzieś odfrunęła, ale ujęcia pozostają. Pstryk! Tym razem obaj wybuchamy śmiechem.

- Zobacz, nawet strumyk płynie do góry!

Rzeczywiście: wiatr dopada do górskiego potoku i próbuje odwrócić jego bieg - porywając pod górę całe warstwy wody. Niesamowite, ile magicznych rzeczy wydarza się wokół nas. Wystarczy tylko szerzej otworzyć oczy i umysł. Gdy docieramy wreszcie do miasteczka, nawet próba suszenia bielizny łożenkową suszarką do rąk - w publicznej toalecie - może być magiczna. Uwierzcie mi! Wiara czyni cuda.

A wieczorem, na jachcie, jak to na jachcie - odpoczywamy: pełen melanz na pokładzie, bo oczywiście szkocka pogoda zmienną jest. Znów świeci słońce i jest ciepło. Nawet gorąco. Szkocka. Ta pogoda. Single Malt.

Już nigdy, przenigdy nie będziemy drwić z ludzkiej niefrasobliwości, brawury lub głupoty, gdy w wiadomościach podadzą sensację, że znowu ktoś wyruszył w góry bez odpowiedniego przygotowania i spotkał tam - tak zwane - zmienne warunki atmosferyczne. Na żywioł nie ma mocnych. Liczy się tylko szczęście. Dziki fart. Przeznaczenie?



#Oban

Czas się znów kurczy. Rano czekamy na przyływ, by ostatnia śluza na kanale otworzyła swoje podwoje i wypuściła nas na szerokie wody. Prujemy do Oban, ostatniego portu na trasie. Krajobraz Highlandu żegna nas zamglonym widokiem. Mleczne kłębowisko otula małe wysepki i okoliczne szczyty. Miejscami niebo otwiera się wąskim prześwitem, wpuszczając kilka słonecznych wiązek. Jasne, słoneczne zające natychmiast przyklejają się do zielonych wzgórz i gnane wiatrem, uciekają z pola widzenia. Zupełnie jak zabawa z dzieciństwa, ale w skali makro. Tymczasem to już nasze ostatnie podrygi na falach. Po południu cumujemy w marinie, gdzie jacht pozostanie zakotwiczony i będzie czekał na przyjazd następnej załogi. Przylecą jutro do Glasgow. Kapitan precyzyjnie planuje logistykę przejęcia łodzi. W Oban wynajmujemy samochód, którym jutro ruszymy na lotnisko. Nasi zmiennicy odbiorą pojazd i wrócą na jacht. Proste. Przynajmniej w teorii, bo do odlotu pozostała jeszcze cała doba. Doba to dużo czasu, wiele może się zdarzyć.

- Kapitanie, skoro mamy auto, to zamiast siedzieć w porcie zróbmy sobie wycieczkę.



Pożyczony atlas samochodowy podpowiada dwie opcje:

- Zamek. Tamten zamek, Eilean Donan Castle, tuż u wybrzeży wyspy Sky - tym razem sprawdzamy bezbłędnie - to tam urodził się filmowy Connor MacLeod. Tam jest kamienny most, po którym wygnano go z rodzinnego klanu..
- To tylko około dwustu kilometrów... No może mil? Cholera, w jakiej skali jest ta mapa?
- Nie ma mowy, zamki już mieliśmy, a żaden kolejny nie prześcignie tego, który powitał nas nad Loch Ness. To był nasz zamek i tego się trzymajmy!
- No to mamy alternatywę. Pamiętacie nazwę GLEN COE? Wąwóz, w którym kręcono również sceny do Nieśmiertelnego... ale przede wszystkim miejsce, gdzie urodził się BOND. JAMES BOND!
- Tak! Tak! Tak! Jedziemy, natychmiast! Patrzcie, to bardzo blisko, pół godzinki stąd! 20 kilometrów? No może mil....

Kapitan chce zostać. Musi przygotować jacht dla następnej załogi, a my niedługo wrócimy. Przecież to pewne!



#GlenCoe

Nic w Szkocji nie jest pewne. Ani odległości, ani pogoda. Droga wiję się niezwykle zakolami wzdłuż zatoki, którą dziś pokonaliśmy jachtem. Ale tym razem to widok z lądu tworzy zupełnie nieznaną perspektywę. To normalne, że ta sama sytuacja widziana od drugiej strony wydaje się całkiem inna. Mijamy ukryte za skałami, dzikie kotwicowiska jachtów, schowane w zacisznych zaułkach, gotowe na przyjęcie nadchodzącego zmroku. Jak tu nie zdjąć nogi z pedału gazu, gdy mija się takie widoki.



Jak się nie zatrzymać, gdy z za zakrętu wyłania się znana i wyczekiwana sylwetka budowli... wtopiony w wody zatoki zamek z kamiennym mostem. Tak, wiemy, to nie jest ten właściwy zamek. Ale bliźniaczo taki sam. Obrazy z filmu mamy świeżo w pamięci i teraz jesteśmy pewni - ta sama bryła, ten sam most. Nieważne, że inne miejsce. A zresztą - czy w naszej sytuacji można być czegoś pewnym? Może to znowu działanie magii? Przeniesienie? Zadośćuczynienie i ostateczny klik losu? Na wszelki wypadek trzeba zrobić zdjęcie. Po krótkiej przerwie ruszamy dalej, po stalowym, wąskim moście, zawieszonym nad wodami zatoki. Już coś wiemy o tych szkockich mostach... portalach do innych światów.



Ale nikt z nas się nie odzywa. Nie chcąc zapeszać? Że nic się już nie wydarzy? A może każdy w myślach coś sobie układa po swojemu lub nuci - na przykład:

- Gabłota mota na opony wstęgę szos... Królowie życia i Glen Coe!
- Zatrzymaj się! Hamuj!

Inne pojazdy zachowują się podobnie. Widok odbiera dech w piersiach. Pomimo, że właśnie w tej chwili wycieraczki nie nadążają odgarniać deszczu (który - jak to w Szkocji - pojawił się nagle i znikąd), to stajemy na poboczu i otwieramy okna. Z boku rozciąga się długi i zielony masyw górski, poprzecinany dziesiątkami cieniutkich, białych żyłek. Cieńsze odchodzą od grubszych, następnie rozdzielają się na jeszcze mniejsze, otaczając zielone cielsko szczytu swoistą pajęczną strumyków i kaskad. Prawdziwy, naturalny układ krwionośny, wypełniony krystalicznie czystą, spienioną wodą. Cały ten organizm usypia teraz powoli, otulając się w przedwieczornej mgle. Znowu musimy przerwać fascynującą obserwację, gdyż trzeba ruszyć dalej: obowiązek wzywa!

Jedziemy przez rozległy kanion, przypominający trasę do Gór Skalistych, znaną z amerykańskich filmów drogi. Prosta kreska asfaltu niknie gdzieś za horyzontem, otoczona z prawej i lewej strony przez rozległe wrzosowiska. Na poboczach sterczą wysokie tyczki. Domyślamy się, że muszą wyznaczać szlak dla pługów śnieżnych, gdy za kilka miesięcy dolinę zasypie śnieżyca. Widocznie spodziewają się tu znacznych opadów śniegu, a dookoła nie ma żadnych naturalnych przeszkód, które mogłyby powstrzymać powstawanie zasp. Tymczasem mamy teraz środek lata i możemy sobie jedynie wyobrazić, jak ten surowy krajobraz wygląda zimą. W głębi tego landszaftu, z płaskich wrzosowisk, wyrastają wysokie szczyty. To tak, jakby ktoś przykrył ogromny blat stołu obrusem i z jednego boku, wzdłuż całej długości, podwinął i pomarszczył materiał. Droga rozdela płaszczyznę na niesymetryczne części. Po lewej płasko, za to po prawej - bardzo stromo.



Oprócz mapy samochodowej mamy jeszcze pewien tajny szkic od szkockiego przewodnika sprzed kilku dni - zupełnie jak plan z zaznaczonym, ukrytym skarbem. Porównujemy i przykładamy do siebie obie kartki.

- To musi być tutaj, skręcaj w prawo - wyrokuje Gajos.

Pod kątem prostym zjeżdżamy z głównej trasy, w ledwo widoczną, wąską, dróżkę, która wbija się w szczelinę między górami. Nie wiemy, czy to dobry wybór, ale w zasięgu wzroku nie widać innej alternatywy. Ponadto wzdłuż dróżki wije się bystra rzeka, mająca swój początek gdzieś w tych górach, do których się zbliżamy.

Szerokość dróżki przewidziano tylko dla jednego samochodu. Jeśli trafimy na inny pojazd - ktoś komuś będzie musiał ustąpić pierwszeństwa i cofnąć się do szerszej mijanki. Dróżka to wznosi się, to opada, to skręca lekko w jedną lub w drugą stronę - tak aby zmieścić się pomiędzy meandrami rzeki i coraz wyższymi szczytami, które wchłaniają nas w swą paszczę. O ile do tej pory można było przyspieszać, to teraz jedziemy bardzo wolno:

- by nie zsunąć się w nurt rzeki
- by nie trafić na pojazd z przeciwka, który nagle może wyłonić się zza kolejnego zakrętu
- by zadzierać wysoko głowy i patrzeć przez otwarte okna na te cudowności (bo właśnie, jak na zamówienie, przestało padać)
- by nie rozjechać stada jeleni....
- czegooooooooo?
- STADA JELENI?!!!!

Czyżbyśmy znowu przekroczyli granice Edenu? Czy ponownie ktoś otworzył woreczek z czarodziejskim pyłem lub machnął różdżką? W każdym razie tracimy poczucie czasu i rzeczywistości (@Kapitanie: wybacz!) Całe grupy szlachetnych jeleni - rogatych samców i zwinnych łań - wybiegają na drogę, otaczają samochód, podchodzą do okien i dają się głaskać. Może jesteśmy w tym rajach pierwszymi ludźmi i ciekawskie zwierzęta chcą poznać obce dziwolągi? Nie, to chyba jednak nie ta bajka. Przecież przed nami był tu James Bond i wiele się wtedy działo. Widzieliśmy to w takim filmie, w kinie, a potem w telewizji. Telewizja prawdę ci powie. Tam, w tym filmie o Bondzie, też był jeleni i tu są jelenie - najlepszy dowód, że filmy nie kłamią! Aż strach pomyśleć co się stanie, gdy nagle z naprzeciwka wyskoczy rozpędzony Aston Martin. Mijamy spalone zgliszcza jakiejś osady. Może to rodzinny dom naszego bohaterskiego komandora-szpiega po wizycie tamtych złych? Na szczęście sielanka trwa nadal i nikt nie strzela, nikt nikogo nie goni. Dojeżdżamy do końca drogi. Przed nami górskie jezioro. Znow próbujemy dopasować okolice do filmowego scenariusza. Tu? Nie tu? Na pewno tu!



Wszystko na to wskazuje. Przez ten kolejny atak magii znów zgubiliśmy rachubę czasu. Robi się ciemno! Od wyjazdu z portu minęło już chyba dwie godziny! Ale kiedy? Kapitan nas przeklnie. A przecież wracać będziemy tą samą drogą.

- Zostaniemy tu na dłużej...
- Wrócimy tu kiedyś, by powrócić się po tych szlakach, wykąpać w górskim jeziorze, połowić pstrągi w rzece. W tym najpiękniejszym miejscu na Ziemi. Kolejnym najpiękniejszym miejscu na Ziemi na naszej drodze.
- To taka magia,
- To takie czary.
- Może tu jeszcze wrócimy.

Wróć tu... szybciej niż myślą (*przyp. wyroczni*)

#DzieńOstatni vs. #DzieńPierwszy

Samolot z Glasgow startuje po 11, do przejechania mamy ok. 170 km. No może mil? Ej, bez żartów! Nie wolno się spóźnić! Pobudka przed świtem, wyjadanie resztek z lodówki, ostatnie porządki, szybka ewakuacja i pożegnanie łodzi. Kapitan wróci na nią za tydzień, a my?

- Chujnoś
- Panowie, mapa do ręki, wy - żeglarze robicie za nawigację, ja - już zawodowo - robię za szkockiego drajvera.
- Na razie jedziesz tak jak wczoraj na Glen Coe, a potem ci powiemy gdzie skręcić.
- Nie ma problemu, ja tu tylko fajerą kręcę i wajchę przekładam prePana! Znowu mijamy zatoczki, potem, ponownie zamek z mostem... potem przejazd przez zatokę... no, przez ten portal do innego wymiaru...
- A my nie powinniśmy tam na rondzie skręcić na Fort William? - moi nawigatorzy zaczynają się zastanawiać.
- Eeeee, dobrze jedzie...
- Chyba, żeby?

Nie słucham ich dyskusji, robię swoje. Ja ciągle tylko kręcę kierownicą.

- A może trzeba było tam skręcić?
- Nie, no patrz na mapę, tu jesteśmy, tędy jedziemy, tam był drogowskaz na Glasgow...
- Ale to jakoś na około?
- To mam zawracać? - Wtrącam się do tej akademickiej dyskusji - bo ja tu tylko kręcę!
- Nie, nie, jedziemy dalej...



Pokazujemy więc Kapitanowi, gdzie byliśmy wczoraj, ta góra opleciona strumykami, ten płaskowyż z drogą oznaczoną tyczkami... Dopiero teraz Kapitan zaczyna wierzyć dlaczego tak długo nas nie było

- O, zobacz, a tam skręciliśmy i tam opadły nas te jelenie...
- Jak tu pięknie! - Kapitan najwyraźniej jest pod wrażeniem - ale chwileczkę, ja przecież jechałem wcześniej z Glasgow do Oban, ale chyba nie tędy?
- To mam zawracać? - bo ja tu tylko kręcę!
- Już za późno! Ale tędy też dojedziemy, tylko trochę nadłożymy drogi.
- Ile?
- Może jakieś 70 kilometrów - rzuca niepewnie Kapitan
- Kilometrów czy mil? - jakbym już kiedyś zadawał takie pytanie.
- A o której dokładnie startuje wasz samolot? - Kapitan próbuje odwrócić kota ogonem, ponieważ leci oddzielnie, innym samolotem, dopiero po południu.
- Startujemy o 11:40 - na wszelki wypadek sprawdzamy rezerwację.
- Zsynchronizujmy zegarki - teraz jest po ósmej, to spokojnie zdążymy.

Pomimo, że ja tu tylko kręcę, niepostrzeżenie dociskam pedał gazu, bo przed nami ta niekończąca się, prosta nitka szosy. Wczoraj nie dotarliśmy aż tak daleko. Mijamy, położony wysoko w górach, ośrodek narciarski z nieczynnymi wyciągami i nartostradami. Ich czas spokojnie jeszcze nadejdzie. Natomiast nasz czas nadszedł chyba już, a może właśnie minął? Ponieważ nitka nadal nie ma końca, a jedziemy nią już dobre 15 minut.

- Wyjątkowo uroczy, bezkresny odcinek - chciałoby się powiedzieć, gdybyśmy mogli w tej chwili skupić się na krajobrazie.
- Gaz mam wciśnięty do deski - informuję tylko pro-forma. Zresztą jakie to ma znaczenie, bo podziałka szybkościomierza chyba jednak wyrażona jest w milach. Nie w kilometrach.
- Ciekawe czy starczy nam paliwa? - niespodziewanie pojawia się kolejny element układanki

Zatankowaliśmy wczoraj pół baku, akurat tyle, by dojechać do Glasgow. Kolejna załoga ma uzupełnić paliwo na swoje potrzeby. Tymczasem benzynowy silnik, który wyje na najwyższych obrotach, nie jest tak ekonomiczny, jak diesel w czerwonej strzale. O ile strzałka prędkościomierza wychylona jest maksymalnie do góry, to wskaźnik paliwa opada dość szybko i nieubłaganie na dół. Wyraźnie można zauważyć jakąś magiczną współzależność wskaźników.

- A wokół nas same góry i doliny. Hej!
- Nareszcie! - pada wyczekiwane westchnienie, gdy w końcu osiągamy kres prostej drogi. Widocznie dojechaliśmy do linii horyzontu.



- Ale dlaczego droga się zwęża?
- Spokojnie, zaraz będzie rozwidlenie, w prawo, albo w lewo. Pojedziemy więc w prawo i tam już będziemy na właściwej trasie - uspokaja Kapitan.
- Teraz?
- Tak! w prawo.

Ale droga, zamiast się wyplaszczać, robi się coraz bardziej malownicza, góraska i pokręcona. Dodatkowo doganiamy dwa Tiry, których nie da się tu wyprzedzić. Same ostre zakręty.

- ale czy dobrze jedziemy? Bo na drogowskazie jest Oban... a tam byliśmy rano.
- yyyyyyyyyyy?! ZAWRACAJ! - decydują nawigatorzy
- iiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiii - piszczą hamulce
- wrrrrrrrrrrrrrr - silnik wskakuje na wyżyny swych możliwości. Warszawski kierowca, który szlify zdobywał Maluchem na miejskich oesach, na Belwederskiej, Dolnej i Karowej, wie doskonale, jak piłować motor na dwójce i trójce.
- No to się trzymajcie koledzy żeglarze! - oni dzielnie manewrowali jachtem, więc teraz ja się mogę wykazać. Silnik dostaje zastrzyk wzbogaconej, wysokooktanowej mieszanki adrenaliny - zaczynamy regaty przez Highland!
- Dwójka! Trójka! Redukcja! Zakręt, ścinam, sprzęgło, gaz, opór, trójka, rura, hamulec, redukcja, zakręt, opór, trójka, opór... Takie chwile wymagają odpowiedniego podkładu: stare, dobre Sisters of Mercy jest w tych sprawach niezawodne. I nawet nikt nie protestuje, że muzyka się nie podoba.
- Rezerwa! - pomarańczowa lampka brutalnie przerywa drogowy trans.

Wracamy do rozwidlenia, które nas zmyliło. Skrzyżowanie było dwustopniowe. Trzeba było najpierw skręcić w lewo, a potem w prawo, a nie od razu w prawo.

- Jest stacja! - w locie tankujemy paliwo, w ostatniej chwili, bo w baku pozostały opary.
- Go, go, go!
- Złapałem zasięg nawigacji! Teraz już dobrze jedziemy! - nasze dotychczasowe doświadczenia z telefonicznymi aplikacjami, które nie działają akurat wtedy gdy są potrzebne, dają się wreszcie wytłumaczyć: przecież po tamtej stronie, w raj, nie ma infrastruktury telefonicznej! Przynajmniej na razie.
- Czyli jednak byliśmy w raj!

Lecimy jak na skrzydłach, ponieważ droga chwilowo się rozszerzyła. Nadrabiamy kilometry i stracone minuty. Nawet przez chwilę mamy wrażenie, że okolica coś nam przypomina



- znowu jakieś małe Deja Vu? - mijamy górę z linią kolejową, podpartą na kamiennych filarach. Tą czarodziejską - z Harry Pottera.
- Czy myśmy już jej kiedyś nie widzieli? Ale pewnie, tu w Szkocji, jest więcej takich pociągów
- No chyba, że sytuacja widziana z innej perspektywy... - czy już nie padało takie stwierdzenie?!?
- Jak tam sytuacja? - pytam Kapitana, który siedzi po lewej, na fotelu pasażera.
- Zaraz luksus się skończy, zresztą powinniście znać tę trasę?
- ?
- Wzdłuż Jeziora Loch Tay. Chyba tamtędy przyjechaliście z Glasgow?
- To ta nadbrzeżna droga wzdłuż jeziora? Najpodlejsza w całej Szkocji?
- Exactly! Dokładnie tak!

Pamiętacie dzień pierwszy? Gdy samochody albo ocierały się o skałę, albo mogły wpaść do jeziora? - *przyp. autora*

- Ha, ha, ha. to nie może być prawda? Prawda? I my teraz mamy jechać w odwrotnym kierunku? Przy krawędzi jeziora?
- Dokładnie tak!

Pamiętacie, gdy poszarzałe usta Gajosa mamrotały:

- Szerzej, szerzej!

Pamiętacie tabliczki:

- uwaga-ślisko,
- uwaga-kałuże,
- uwaga-woda?

Pamiętacie brak barierek i jazdę na piczy kłak?

Pamiętacie, jak się wtedy cieszyliśmy: "Mamy czas i nigdzie nam się nie spieszy. Pełen luz" ...?

- Ha, ha, ha! - mój pusty śmiech graniczy z obłędem - A to na pewno dzisiaj mamy ten samolot? No to próbujemy! Na Ben Nevis też się udało. Dziki fart? Przeznaczenie?
- Kapitanie, będziesz moim rajdowym pilotem, wychylasz się za zakręt i mówisz, że mogę ścinać, no wiesz jak? Jak na odcinkach specjalnych! Na przykład tak..." ścinasz lewy, lewy, sto, ślisko, uważaj ślisko, prawy czwórka, uważaj, jedziesz, prawy do lewy ślisko prawo trzy drzewo dajesz do prawy otwiera trzymaj prawy, trzy prawy zacisk trzy lewy cztery prawy smażyz grilla prawy sześćdziesiąt na maxa" - ale Kapitan nic nie mówi. Tylko siedzi jakoś spokojnie, jakby sparaliżowany, z niebieskim odcieniem twarzy.

Niebieskim, jak kolor jeziora za jego oknem. Niebieskim, jak woda na ulicy, przed maską.



Teraz już wiemy po co są te tabliczki ostrzegawcze. Przy silniejszym podmuchu wiatru, tak jak ma to miejsce akurat tu i teraz, jezioro przekracza symboliczną krawędź i zajmuje bezceremonialnie część jezdnii. Nie dość, że jest wąsko, to jeszcze mokro i ślisko. Przeżyliście kiedyś aquaplaning, gdy rozpędzony samochód nagle niemal staje dęba i zatrzymuje się w miejscu? Ale Sisters of Mercy nie na takich trasach już grały.

- Yeah!

Najtrudniejszy odcinek pokonujemy trzykrotnie szybciej, niż jadąc w tamtą stronę. Kapitan nadal milczy. Pozostała trójka, na tylnej kanapie, też się nie odzywa. Ponownie mijamy gospodę z haggis i droga zaczyna się rozszerzać. Teraz jedziemy już wzdłuż Jeziora Loch Lomond. I od teraz obowiązuje już tylko czysta matematyka. Stosunek połykanych kilometrów do szybkości, spotęgowany uściskiem rąk na kierownicy. Wynik tego równania może być tylko jeden czyli = dziki fart. Wpadamy na lotniskowy parking. Kapitan zajmie się samochodem.

- Potem, wszystko potem.

Bo teraz biegniemy z tobołami w stronę terminala, może jeszcze nie skończyli odprawy?

- Dziki fart.

Wpadamy w ostatnim momencie. Coś sprawiło, że samolot jest o pół godziny opóźniony.

- Ha, ha, magia!

Gdy tłum pasażerów ciśnie się do rękawa, wydajemy ostatnie drobniaki na ostatnią pintę ciemnego z pianą. I jeszcze ostatnie selfi na czarodziejskiej szkockiej ziemi. Pstryk!

#1987

warszawskie Kino Skarpa. Seans się kończy. Stoję w sali kinowej i patrzę na uciekające z ekranu napisy. Wszyscy wychodzą. Ja nie mogę. Jestem wmurowany w lastrykową posadzkę. Z głośnika leci ostatnia piosenka Queen. Its a Kind Of Magic. Z wilgotnych oczu płyną łzy nastolatka. Szkocja. Byłem tam. Byłem tu. Its a Kind of Magic. To taka magia. To takie czary.

#później

Polska. Smętny i senny poranek. Za oknem mgła. W szklanym pudle telewizyjne mordy z nienawiścią próbują nawzajem pościnać sobie głowy. Czyżby naiwnie myśleli, że mają choćby najmniejszą szansę na nagrodę nieśmiertelności? Nie ten gejm, nie ten level, czyli nie ta gra, nie ten poziom. Wychodzę na dwór. Polski



Dwór, który pozbył się wartości nieprzeliczalnych, gdzie nie ma już autorytetów, a słowo - jest gównem warte. Bo słowo coraz trudniej pochodzi z ust, a coraz częściej płynie potokiem przez aplikację. Podobno młodzi są teraz nieskażeni przeszłością, bezkompleksowi, zunifikowani i otwarci. Multikulti. Wyjeżdżam na ulicę, by doświadczyć jedynie złorzeczenia znerwicowanych frustratów. Skręcam w stronę pól i łąk. Poranna mgła czeka na wiatr co rozgoni, ciemne skłębione zasłony. Szukam wzrokiem szczeliny w gęstej pokrywie chmur. Wyglądam chociażby najmniejszego promyka słońca. Sięgam po telefon.

- Halo, Gajos? Widzisz to co ja za oknem? Mgła... Prawie jak w Szkocji!
- Uffff, a ja myślałem, że już mam zaćmę!

#Postscriptum

Wszystko zostało już napisane. Skończony i zamknięty rozdział. Czyżby? Magia pisze jednak swój własny scenariusz. Co się może wydarzyć w taki deszczowy, smutny, ponury warszawski dzień, jak 21 października 2015? Dzień, który zbliża się powoli ku wieczorowi.

[zapis rozmowy SMS]

- Jean-Michele Jarre o 19 w Juniorze podpisuje nową płytę! - elektryzująca wiadomość od Leśnego, który zawsze trzyma rękę na pulsie.
- Jedziesz? Mógłbym zabrać LP vinyl Oxygen z lat 80tych. Moja pierwsza zagraniczna płyta - piszę bez zastanowienia i jakby od niechcienia, bo jeszcze do mnie nie dociera waga przekazu.
- Ja nie, ale wiem, że ty lubisz - odpowiada Leśny.

Lubienie to jedno, ale magiczna symbolika, to drugie! Może więc jednak coś się dziś jeszcze wydarzy?

- I ten Empik w Juniorze! I kolejka po podpisy na płycie: to wszystko jest już w mojej książce! - uchylam Leśnemu rąbka tajemnicy.
- Tym bardziej jedź i udowodnij, że żyjesz.
- Może, może, musiałbym zdążyć do domu po vinyl. Inaczej nie ma sensu.
- Kup w Empiku coś, np. plakat... I co, odpuszczasz?
- [19:40] Ruszam z domu. Do której to może być? Sprawdź pls czy jest się o co zabijać.
- Nic nie piszą

#26sierpnia2005 Stocznia Gdańska

Jesteśmy tu z Leśnym. Dostaliśmy się na koncert Jean-Michele Jarre'a. Ważne, jubileuszowe wydarzenie. Kofyszą się stoczniove żurawie, tańcząc w światłach

laserów przy doskonale znanych dźwiękach. Nie tylko z płyty Oxygene. Również do melodii Jacka Kaczmarskiego

Wyrwij murom zęby krat

Zerwij kajdany, połam bat

A mury runą, runą, runą

I pogrzebią stary świat!

Ale to już zupełnie inna historia. Czyżby inna?

#Warszawa, w prawdziwym świecie

Godz. 20:19, kwadrat ulic Marszałkowska-Sienkiewicza-Zgoda-Złota. Brak miejsc postojowych, wszystkie zajęte! W nocy Warszawa żyje! Kiedyś, o tej porze, te okolice świeciły pustkami. Klika radiowozów policji i straży miejskiej przyjechało na łatwy łup. Mandaty za złe parkowanie sypią się na prawo i lewo. Nerwowa runda dookoła Domów Centrum i rozpaczliwie wciskam auto pod znakiem zakaz parkowania, w bramie przy Hybrydach na Kniewskiego. Gdzie?!? Refleksja pojawia się podczas biegu do Juniora. Czy to znak przeznaczenia, które toczy i zamyka pewne kręgi? Przecież do Klubu Hybrydy przychodziliśmy na koncerty! W tamtym życiu. A później w weekendy - na giełdę płytową. Na giełdę winylową, bo to lata osiemdziesiąte! Dobre lata. Gówniane lata. Najlepsze lata. Coś ściskam w rękach biegnąc do Juniora ulicą Kniewskiego. Moje stare winylowe płyty! Ale zaraz... na tabliczce ta ulica nazywa się Złota. Coś się zmieniło? Kiedy? Później sprawdzę. A czy Hybrydy nadal istnieją?... Wszystko później, bo czas znowu się kurczy, bezlitośnie odliczając sekundy. W końcu dopadam ściany wschodniej. Ale czy ona nadal tak się nazywa? Wokoło stoi policja. Kiedyś stało tu ZOMO. Przynajmniej to się zgadza. Na zewnątrz nie ma kolejki! Kiedyś była. Wtedy też tu biegłem. Pamiętam jak dziś. Też po autograf, chociaż na innej płycie. Na szczęście wszystko po staremu: kolejka stoi w środku sklepu! Jak za dawnych lat.

Wspaniale. Przedemną ponad setka osób. I ochroniarz.

- Przykro mi, artysta już kończy, zaraz odjeżdża, już nie możemy nikogo wpuszczać, bo i tak nie wszyscy dostaną autograf.
- Ale niech pan spojrzy! - rozwijam trzymaną w rękach paczkę - niech pan zobaczy na datę wydania tych płyt! - prawie 40 lat temu! - pana jeszcze nie było wtedy na świecie! - z namaszczeniem pokazuję mu Oxygen i jeszcze inną płytę.
- OK, niech pan staje, ale jest pan ostatni i bez żadnej gwarancji na autograf - lituje się nade mną.

Chłopak nie wie nawet, jakie to siły magiczne mnie tu ściągnęły. Pewnie nie słyszał nic o potędze mocy. A jednak to proroctwo istnieje! Wielokrotnie powtarzane kłamstwo staje się prawdą. Ile to razy wypowiedaliśmy w przeszłości jak mantrę:

- niech moc będzie z tobą! - Ale stop tym fantazmagoriom! Nie tym razem. Gwiezdne wojny to kolejna, alternatywna rzeczywistość. A to już zupełnie inna historia. Czyżby?
- [Godz. 20:23] Kolejka jak za komuny, zaraz zaczną pałować ZOMO - leci sms z relacją do Leśnego - Jak w mojej książce. Hehehe.
- Czyli jednak. Brawo. Jesteś rokendrollem! - powraca odpowiedź
- Proszę państwa, kończymy! - pada ze sklepowych głośników - jeszcze tylko kilka podpisów, maksymalnie jeden autograf na osobę!
- [20:40] - chyba nie zdążę. Zabrakło 15 minut. Może... - zaklinam rzeczywistość.

Godz. 20:50 - dawno po czasie - jeszcze 4 osoby, trzy, dwie, jedna, i ja ostatni!

- Bonsoir Mr Jarre, mam tu coś absolutnie specjalnego. Pokażę Panu - zmęczony artysta z zaciekawieniem podnosi wzrok.
- Mam włoskie wydanie Oxygene sprzed 40 lat! Moją pierwszą zagraniczną płytę, którą moja Babcia przywozła zza żelaznej kurtyny!
- Och na prawdę? A jak pan ma na imię? Napisze Panu autograf z dzisiejszą datą.
- Dziękuję! Ale to nie wszystko! Mam jeszcze coś. Absolutny unikat, biały kruk, wydany pół-oficjalnie w 1983 roku. W kraju, którego już nie ma, w NRD! [Ale do cholery! To już zupełnie inna historia! - przyp. cenzora] - Musik aus Zeit und Raum - Muzyka z Czasu i Wszechświata - czy mogę prosić o jeszcze jeden autograf?
- Niesamowite! - Jean-Michele jest wyraźnie zaskoczony - Tak, widziałem kiedyś tą płytę! - żartuje i sygnuje ten wyjątkowy egzemplarz. W tej chwili, na pewno jedyny taki w Polsce. A może i we Wszechświecie, w tym i w każdym innym Czasie!
- To takie czary... To taka magia....
- ?
- Nie, nie, to już zupełnie inna historia...
- Czyżby?

Koniec. Koniec?

#PozaNawiasem (poza czasem)

Najnowsza płyta Jean-Michelle Jarre nosi tytuł Electronica - The Time Machine. Czy wszyscy oszaleli, że ciągle o tym Czasie? Płyta powstała we współpracy, m.in. z Tangerine Dream, którzy kiedyś występowali na Torwarze, z Vince Clarke - współzałożycielem Depeche Mode i Yazoo oraz z Petem Townshend z The Who. Siódme nagranie na płycie nosi tytuł IMMORTALS. Nieśmiertelni. Nomen-omen. Dziękuję Jean-Michele! Też jesteś jednym z nich. Jednym z nas. Jak to się wszystko dziwnie łączy.

